NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

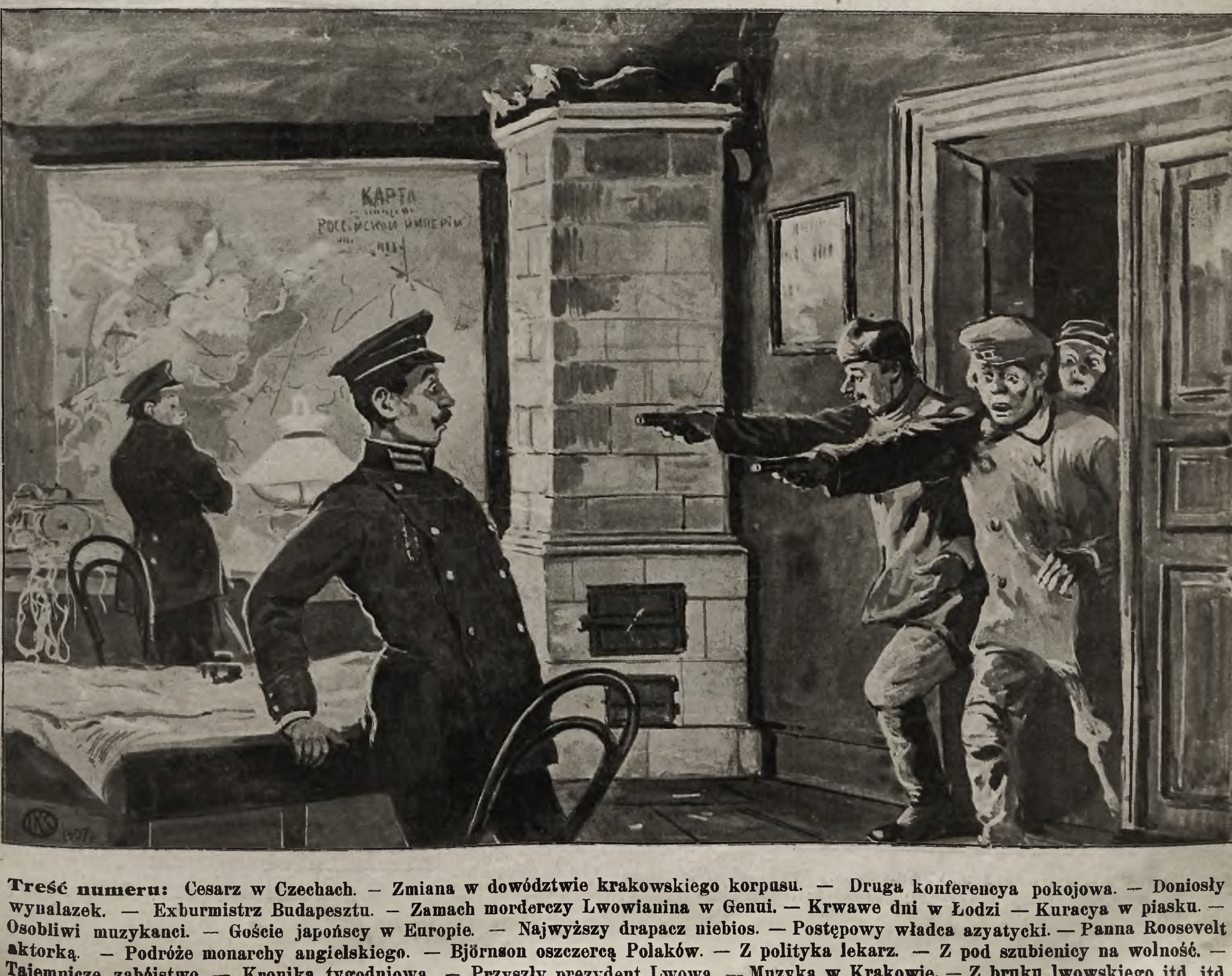
Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. | Kraków, 27 kwietnia 1907. | Nr. 17.

Zamach na stacyę kolejową.

(Treść na stronie 2).



Zamach na stacyę kolejową.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed pięciu miesiącami rozpisywały się dzienniki warszawskie o zbrojnym napadzie na stacyę



Przyszły prezydent Lwowa: Stanisław Ciuchciński, kandydat partyi mieszczańskiej, którego wybór na następcę śp. Michalskiego jest prawie zapewniony.

kolejową w Suchedniowie, przyczem padł od kul rewolwerowych żandarm stacyjny. Przed tygodniem w podobnych okolicznościach dokonano powtórnego zamachu na tę samą stacyę, tym razem jednak bez krwi rozlewu. Było to porą nocną na półtorej godziny przed przybyciem pociągu osobowego do Suchedniowa. To też zawiadowca p. Łazarko udał się na spoczynek do mieszkania na pierwszem piętrze ponad kancelaryą, w której pozostał tylko jego pomocnik p. Kamiński. Przy aparacie siedział dyżurny telegrafista, w przyległej sali bagażowej drzemał stróż. Na stacyi nie było zresztą nikogo prócz zwrotniczych, czuwających zdala od dworca na torach. Inni funkcyonaryusze kolejowi oraz



Przyszły prezydent Lwowa: Dr. Władysław Dulęba, jeden z najpoważniejszych kandydatów na następcę śp. Michalskiego.

żandarm znajdowali się w mieszkaniach. Wtem wśród ciszy zupełnej rozwarły się nagle drzwi z peronu i do kancelaryi wtargnęło kilkunastu ludzi z wysuniętemi przed siebie lufami rewolwerów.

Gdy kilku napastników przecinało druty telegrafu, inni podłożyli nabój dynamitowy pod drzwi kasy ogniotrwałej w przyległym gabinecie zawiadowcy, z którego wykonawcy się cofnęli, a w tejże chwili straszliwy huk ogłuszył obecnych, budynek wstrząsnął się w posadach, drzwi i okna wyrzucone wybuchem, runęły na peron. Za chwilę wszystko się uciszyło. Na odgłos do odwrotu wykonawcy opuścili stacyę. Dokąd się skierowali, niewiadomo.

Łupem napastników stały się pieniądze przygotowane do wysłania najbliższym pociągiem, w sumie około 100 rubli.

Podczas zamachu, wybuch dynamitu użytego do rozsadzenia kasy ogniotrwałej, był niezwykle silny i poczynił poważne uszkodzenia w całym budynku stacyjnym. Podłożywszy nabój, napastnicy zapalili lont, który tlił się kilkanaście sekund, wybiegli z gabinetu, nim wybuch nastąpił, na peron, polecając to samo uczynić urzędnikom, dzięki czemu nikt szwanku nie poniósł. Od wybuchu silnie uszkodzoną została ściana szczytowa, wewnętrzna zaś ściana, między gabinetem zawiadowcy, a biurem telegrafu, zupełnie rozwaloną została. Piec holenderski w tymże gabinecie rozpadł się w gruzy; cały komin silnie uszkodzony a wylot jego nad dachem strącony został na ziemię. Komin upadając podziurawił dach w kilkunastu miejscach. Troje drzwi i parę okien wraz z futrynami wysadzone zostały, wszystkie szyby w całym budynku w liczbie 100 kilkudziesięciu powypadały. Ani jedna latarnia nie została całą; nawet słupy od nich, stojące na drugim, mniejszym peronie, wybuch poobalał. Kasa biletowa również tak jest zrujnowana, iż bez gruntownej naprawy czynności w niej odbywać się nie mogą.

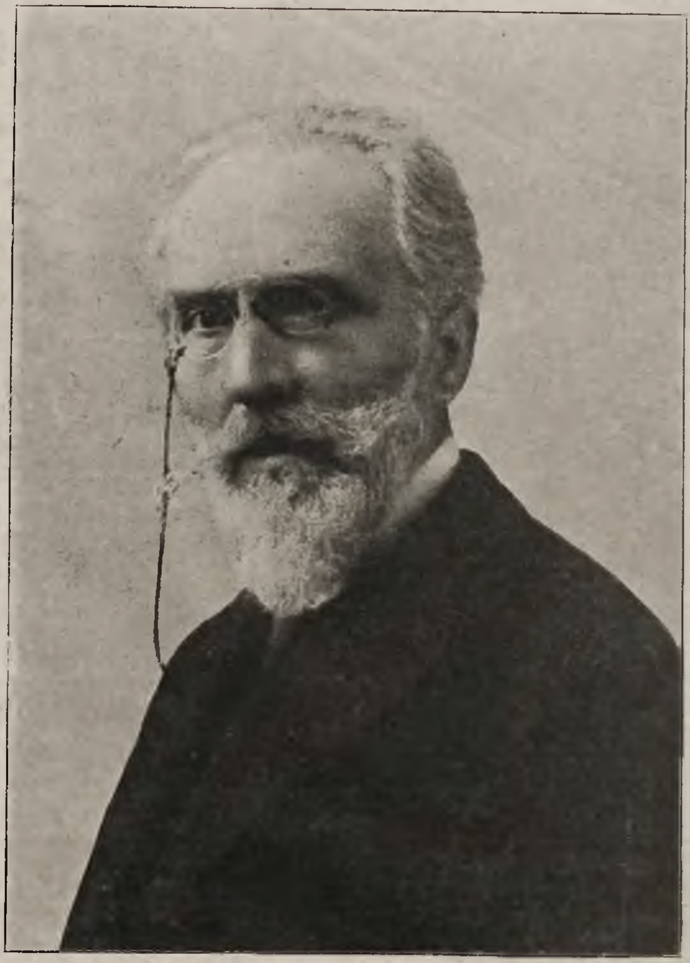
Przyszły prezydent Lwowa.

Lwów, złożywszy uroczyście do grobu swego ukochanego a wzorowego gospodarza, jakim był nieodżałowanej pamięci Michał Michalski, musiał się niespodziewanie zakrzątnąć około wyboru nowego prezydenta stolicy.

Któżby mógł zostać godnym następcą zmarłego burmistrza, jeśli nie mieszczanin lwowski przypominający zaletami Michalskiego. Musi być tedy takim, jak on Polakiem, który potrafi zawsze i wśród wszelkich warunków utrzymać nieskalanym polski charakter miasta Lwowa. Musi dać najzupełniejszą gwarancyę, że szanując wszelkie przekonania, strzedz będzie z całą gorliwością i stanowczością tego polskiego charakteru stolicy, tak zagrożonego w ostatnich czasach z powodu rozmaitych zakusów. Właśnie Michalski był tym, który na owe zakusy zwrócił nwagę i energicznie a skutecznie przeciwdziałać im potrafił — mimo chwalebnej, najszerszej tolerancyi narodowościowej.

Dlatego to na osobę prezydenta stolicy zwracają się oczy nietylko mieszkańców Lwowa, ale kraju całego i wybór następcy Michalskiego zajmuje też Galicyę nie tylko jako lokalna sprawa lwowska.

Zresztą obok owego głównego zadania narodowego, ma stolica kraju obowiązek wzorową gospodarką przynosić chlubę autonomii miejskiej i torować drogę idei autonomicznej w całym kraju, a pamiętać należy, że Lwów ma na podstawie odrębnego statutu szeroką autonomię miejską. W administracyi miejskiej za rządów Michalskiego widoczną była właśnie znaczna poprawa. Tem bardziej tedy ojcowie stolicy musieli po jego niespodziewanym zgonie dobrze się zastanowić, kómu oddać kierownictwo spraw ważnych, których tyle przygotował na przyszłość nieboszczyk.



Przyszły prezydent Lwowa: Dr. Tadeusz Rutowski, jeden z najpoważniejszych kandydatów na następcę śp. Michalskiego.

Nie brak w Radzie miejskiej lwowskiej ludzi zasłużonych, wytrawnych, pełniących z poświęceniem swe obowiązki, nie brak takich, w których dłonie ster rządów miastem spokojnie złożyć można;

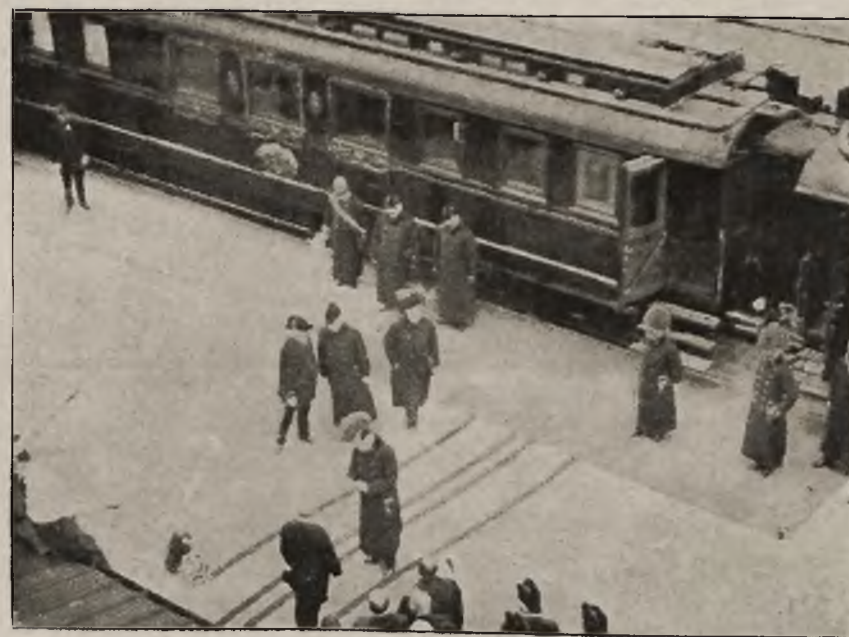


Exburmistrz Budapesztu: Śp. Jan Halmos.

ale nie ma zaiste człowieka, któryby tak, jak śp. Michalski znał w najdrobniejszych szczegółach sprawy miejskie, on, który temi sprawami zajmował się gorliwie przez lat 27 bez przerwy. Wobec tego przyszły prezydent musi mieć u Rady zaufanie i zwartą większość, gdyż inaczej działalność jego nie mogłaby być dodatnią. Stosunek liczbowy klubów w Radzie lwowskiej przedstawia się dziś w ten sposób: Radnych jest 92, z tych 40 należy do partyi mieszczańskiej (t. zw. strzelnicy), 15 do centrum, 15 do lewicy, reszta bezpartyjnych głosuje zwykle w sprawach ważnych z partyą mieszczańską i dlatego „strzelnica“ trzęsie miastem dosłownie w ostatnich latach, sama decydując bezwzględnie w Radzie miejskiej.



Cesarz w Czechach: Powitanie monarchy na dworcu w Taborze.



Cesarz w Czechach: Monarcha dziękuje za przyjęcie na dworcu w Taborze.



Cesarz w Czechach: Następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand oczekuje przybycia pociągu wiozącego monarchę na stacyi w Beneszowie.

Trzech kandydatów poważnych stanęło do walki o łańcuch prezydenta stolicy. Jednym z nich jest wytrawny polityk i świetny publicysta, który tak niegdyś wybitne stanowisko zajmował w reprezentacyi polskiej w Wiedniu, dr. Tadeusz Rutowski, obecny pierwszy wiceprezydent miasta. Drugi, to znany we Lwowie adwokat, sekretarz Koła polskiego w Radzie państwa, poseł dr. Władysław Dulęba. Obaj szanse mieliby duże. Partya mieszczańska wszakże, której głową był śp. Michalski, zadecydowała na strzelnicy, że najodpowiedniejszym tegoż następcą byłby jeden z wybitnych jej członków, a obecny wiceprezydent Stanisław Ciuchciński, mieszczanin popularny i szanowany, właściciel wielkiego zakładu blacharskiego. A skoro go strzelnica ogłosiła swoim kandydatem, nie ulega już prawie wątpliwości, iż na niego padnie ostatecznie wybór radnych, który odbędzie się w czwartek, w chwili gdy niniejszy numer naszego pisma opuści już prasy drukarskie.

Kandydatura p. St. Ciuchcińskiego została przyjętą życzliwie. Obok jego portretu zamieszczamy tedy parę dat z życia przyszłego prezydenta miasta Lwowa. Urodzony w r. 1843, syn starej rodziny mieszczańskiej, skutkiem wczesnej śmierci rodziców przerwał szkoły i mając lat 14, poświęcił się rzemiosłu, nie przestając jednak w dalszym ciągu kształcić się i pracować gorliwie nad zyskaniem wiedzy. To pragnienie wiedzy i chęć wydoskonalenia się w rzemiośle pchnęły go w świat. Kolejno pracuje we Wiedniu, Lincu, Berlinie, Dreźnie, Monachium i Hamburgu, a po kilku latach powraca do Lwowa, gdzie założył blacharską pracownię. Sumienne pełnienie obowiązków jedna mu szeroką klientelę, a co za tem idzie, niezawisłość materyalną. Od tej pory widzimy go wszędzie, gdzie chodzi o sprawę publiczną, o budzenie patryotyzmu i solidarności mieszczańskiej. Wielkie zasługi położył jako dyrektor Towarzystwa wzajemnej pomocy mieszczan lwowskich pod wezwaniem błogosław. Jana z Dukli, od 27 lat zasiada w Radzie miejskiej, a od 9 piastuje godność wiceprezydenta, otaczany szacunkiem i zaufaniem.

Exburmistrz Budapesztu.

Przypominają sobie Czytelnicy niedawną głośną aferę Polonyi'ego na Węgrzech, w której to brudnej sprawie bohaterką była słynna na krótko baronowa Schoenbergerowa.

Otóż i polskiej publiczności pozostało zapewne w pamięci właśnie z tej sprawy nazwisko exburmistrza Budapesztu, Jana Halmosa, który Gezie Polonyi'emu, jako ministrowi sprawiedliwości zarzucał publicznie, iż ten jako adwokat i jako poseł sejmowy nadużywał swego stanowiska, ciągnąc stąd korzyści dla swej kieszeni. Nazwisko Halmosa było podówczas na łamach wszystkich dzienników nietylko na Węgrzech, lecz i poza granicami monarchii.

Przed kilku dniami nadeszła z Budapesztu wiadomość, że exburmistrz Halmos zmarł.

Z tej okazyi załączamy dziś jego portret w narodowym stroju węgierskim. Były gospodarz stolicy węgierskiej zmarł w tym samym dniu, kiedy stolica Galicyi ze wspaniałą uroczystością chowała zwłoki swego prezydenta śp. Michała Michalskiego.

Cesarz w Czechach.

Ostatnia podróż monarchy do Czech i jego czternastodniowy pobyt w ich stolicy, jest faktem bardzo doniosłym w zakresie wewnętrznej polityki austryackiej i to z wielu względów. Przedewszystkiem przed przybyciem cesarza ścichły na pewien czas swary między Czechami a Niemcami, które od lat tylu zakłócają spokój w królestwie czeskiem. Dalej swoim dłuższym pobytem w grodzie nad Wełtawą, zadokumentował niejako Franciszek Józef, że uznaje Pragę za jedną ze stolic w swem państwie, w której nie przebywa chwilowo, lecz „rezyduje“, wedle wyrażenia odnośnego komunikatu oficyalnego. Tem samem zaś uznał podstawy państwowego prawa czeskiego. Wreszcie obecność cesarza w Czechach z pewnością wpłynie na



Cesarz w Czechach: Powitanie monarchy na dworcu w Beneszowie.

osłabienie pangermańskich agitacyj w północno-zachodnich ich zakątkach.

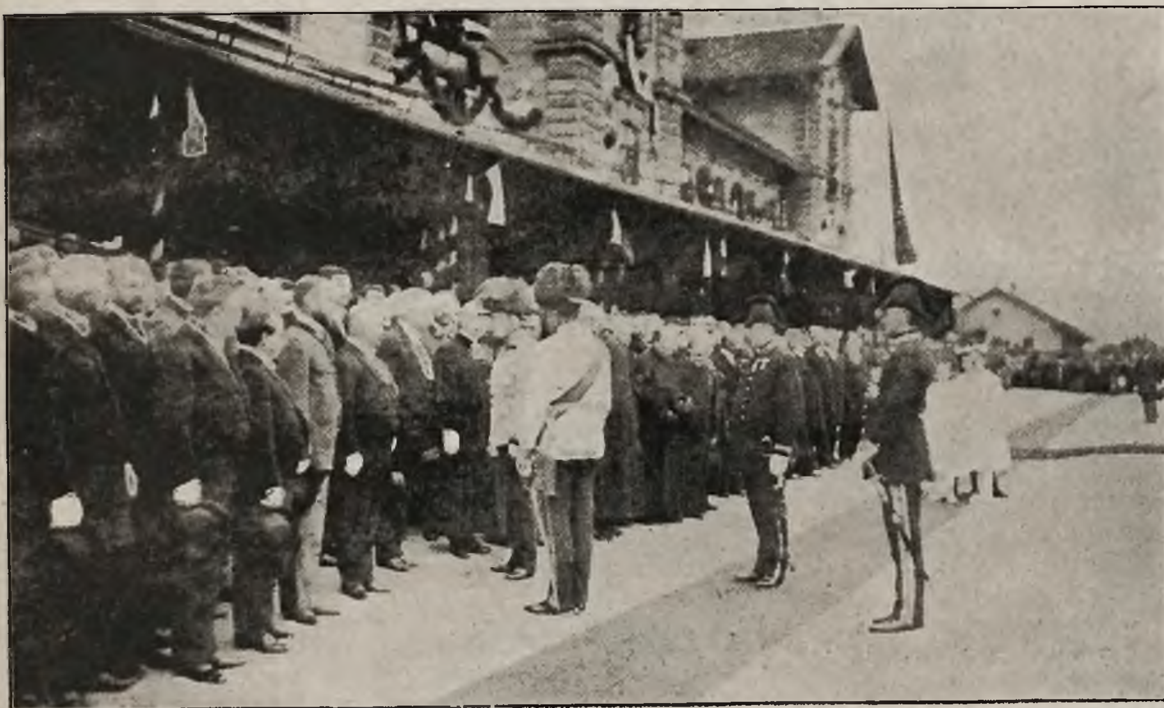
Czesi czują się dumni z tego, że cesarz „rezyduje“ w ich „złotej Pradze“, którego to zaszczytu nie dostąpiło dotąd żadne z miast prowincyonalnych i zgotowali też Franciszkowi Józefowi prawdziwie królewskie przyjęcie. Odgrywał w niem — oprócz dekoracyj miast, przez które cesarz przejeżdżał. oraz samej stolicy — ważną rolę niekłamany entuzyazm tak czeskiej, jak i niemieckiej ludności kraju.

* * *

Urok osobisty sędziwego monarchy i tym razem nie zawiódł. a liczna świta, z prezydentem ministrów br. Beckiem i ministrami-rodakami, Pacakiem i Pradem, na czele, podnosi jej doniosłość polityczną. Wprawdzie ministrowie, podobnie jak prezumtywny następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este, wydalali się z Pragi w czasie pobytu tamże cesarza, to jednak mieli sposobność bliższego porozumienia się z wybitnymi mężami dwóch narodowych obozów, co najniezawodniej wpłynie bardzo dodatnio na dalsze wspólne pożycie Czechów z Niemcami w krajach korony św. Wacława.

* * *

Szereg rycin, jakie podajemy w załączeniu, daje dobre pojęcie o podróży cesarskiej przez Czechy do uroczej stolicy, łączącej w sobie w sposób przedziwny charakter starożytnego grodu z charakterem nowożytnego miasta w całem i najlepszem znaczeniu tego słowa. Szczególniej dekoracya na „Via triumphalis“, którą jechał cesarz od dworca Franciszka Józefa na Hradczyn, wypadła imponująco, wedle jednozgodnych doniesień zarówno czeskiej jak i niemieckiej prasy.



Cesarz w Czechach: Na dworcu w Beneszowie monarcha rozmawia z przedstawicielami miejscowych władz i obywatelstwa.



Cesarz w Czechach: Prezydent ministrów br. Beck (pierwszy po prawej stronie), minister Pacak i minister Prade oczekują na dworcu Franciszka Józefa w Pradze przybycia monarchy.

Od Administracyi.

Zawiadamiamy naszych P. T. Abonentów w Galicyi, że ile razy nie otrzyma kto numeru najpóźniej w sobotę rano, powinien wnieść reklamacyę nie do naszej Administracyi, lecz jedynie do urzędu pocztowego, z którego adresat odbiera „Now. Illustr“.

W tym celu należy zaopatrzyć się w tak zwany „arkusz wywiadowczy“ (Nr. 98 z r. 1903), który to druk każdy urząd pocztowy na życzenie ma obowiązek dostarczyć bezpłatnie. Arkusz ten wypełniwszy należycie (na pierwszej stronie), należy złożyć w odnośnym urzędzie pocztowym, który sam poczyni odpowiedne poszukiwania zagubionego numeru pisma.

Gdyby po tygodniu reklamacya taka nie odniosła skutku, poszkodowany prenumerator może się zwrócić z zażaleniem do urzędu pocztowego „Kraków 2“ (okólnik dyrekcyi poczt we Lwowie, osobna odbitka z r. 1906).

Pismo nasze oddajemy poczcie w Krakowie regularnie w piątek rano o szóstej, to też każdy z Prenumeratorów powinien je odbierać już w piątek, a w dalszych stronach kraju, najpóźniej w sobotę rano.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.



Cesarz w Czechach: Brama tryumfalna przed Muzeum czeskiem w Pradze.



Cesarz w Czechach: Brama tryumfalna na moście Franciszka na Mołdawie.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

20 Ciąg dalszy.

Kola namyślał się, musi iść, przecież umówił się z Wandą, że przyłączą się do manifestantów z Woli, co ona pomyśli, co partyjni powiedzą, gdy jego nie będzie. I po chwili mówił z miną swobodną, z uśmiechem przymilającym:

Otóż widzi mama, jak niepotrzebnie mama czuwała... mówiłem przecież mamie onegdaj, że wybieram się z Balkowskim na polowanie i właśnie jutro pociągiem o godzinie siódmej rano wyjeżdżamy. Zatem nietylko nie będę ani widział ani słyszał, co się będzie działo, ale nawet nie będę w Warszawie.

Ach, jak to dobrze — powiedziała rozpromieniona — więc jedziesz, ale czy na pewno?

Najpewniej mamo i już kazałem się zbudzić, aby nie zaspać.

— Ależ ty się zmęczysz, będziesz niewyspany, dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

— Bo nie wiedziałem. Balkowski zmówił się ze mną dopiero na kolacyi.

To rozbieraj się i idź spać... przyniosę ci budzik, nastaw go, bo i ja się boję, że spóźnisz się na pociąg.

VIII.

Gdy Kola z małą walizą, jechał rano na kolej, miasto jeszcze spało, a po chodnikach snuli się prawie tylko przekupnie. Na stacyi odprawił powóz i lokaja, a umieściwszy walizkę u portyera, sam wsiadł do dorożki i kazał się wieźć na ulicę Wolską.

Na Chłodnej spostrzegł w przecznicach maszerujące gromadki wojska, a w podwórzu cyrkułu stali żołnierze. Z goryczą pomyślał, że ci jego rodacy, a współbracia proletaryatu polskiego, będą może wkrótce użyci na stłumienie ruchu, który ma im przynieść wolność, poprawę bytu, przemienić niewolników na obywateli wolnych i niezależnych.

Dorożka na bruku dudniła i nagle koło uderzyło o wystający kamień z lekkim zgrzytem i hukiem, co nasunęło mu myśl o strzałach. W swej wyobraźni ujrzał tłum bezbronnych towarzyszów, czarne otwory karabinów i padły strzały, są zabici, ranni. To możliwe wobec tego, co mu opowiadała matka, mniejsza z tem, że on zginie, lecz jeśli Wandę zabiją... Wzdrygnął się i postanowił być blisko niej, jeśli ona ma zginąć i on padnie, bo i co mu po życiu bez niej?

Teraz zrozumiał, że ją kocha i jak mu jest drogą, a równocześnie obraz śmierci Wandy znikł i widział tylko dziewczęcą jej postać, oczy pełne zapału i wiary, słyszał jej dźwięczny głos.

Dostrzegł grupę kilku robotników, którzy naradzali się ze sobą i to zwróciło myśl jego na dzisiejszą manifestacyę. Niezbyt daleko stał od nich policyant i dwaj żołnierze, którzy nietylko nie wzywali ich do rozejścia się, ale udawali, a może naprawdę nie widzieli stojących.

Im dalej od środka miasta, tem bardziej ulice traciły na wyglądzie i porządku. Obok domów niskich, pokrzywionych, były i schludne, przedzielone małym ogródkiem od ulicy, albo też wznosiły się wysokie, szare kamienice, przypominające to koszary, to więzienia, a przeznaczone na mieszkania dla robotników.

Już na Chłodnej ruch pieszy był znaczniejszy, a im dalej, tem więcej się wzmagał, kobiety bowiem robotników szły lub wracały ze zakupami. Na ulicy stały wozy z pieczywem, mlekiem, jarzynami, a przy nich gromadki kobiet kupujących. Dzieci obojga płci wyległo mnóstwo na ulicę, a wesołe ich okrzyki mieszały się z głosami przekupniów i handlarzy.

Na rogu placu Wolskiego Kola wysiadł, a gdy płacił dorożkarzowi, posłyszał wesoły głos Wandy:

— Czy wam nie wstyd jeździć dorożką jak zwykły burżuj?

Jesteście? — zawołał ucieszony, witając się z Logiką i Wandą — czy dawno?

O, bardzo dawno — śmiała się Wanda.

Przed chwilą wysiadłyśmy z tramwaju — powiedziała Logika, patrząc wzdłuż ulicy — na szczęście patrole są nieliczne... manifestacya powinna się udać.

Jestem tego pewna — odezwała się Wanda my we troje idziemy, tam kilku ludzi stoi, i mimo surowych zakazów nikt się nie boi.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa, usłyszeli ostry rozkaz w głębi ulicy:

— Rozejtiś! — i policyant roztrącał kilku ludzi, czytających przyklejoną odezwę.

Przyspieszyli kroku i widzieli, jak policyant gwałtownie zdzierał papier z muru.

— To pewno nasza odezwa — szepnęła Logika — i dlatego ta surowość.

Kilku robotników dopędziło idących, jedni znali Logikę, inni Kolę, i wszczęła się półgłośna rozmowa o przybliżonej ilości manifestantów i która z fabryk zaprzestanie roboty z powodu ogłoszonego strajku.

Wanda na razie szła ze wszystkimi, lecz z powodu wąskości trotuaru Logika poszła z trzema robotnikami naprzód, dalej szedł Kola z robotnikiem, a Wanda przystanęła i do niej przemówił jeden z tej grupy:

— Że też pepeesowcy nie manifestują razem z nami? Wiecie towarzyszko przyczynę?

Wanda się zmieszała, spojrzała na robotnika, młodego, smagłego, patrzącego jasnemi oczami i rzekła z pewnem wahaniem:

— Mają zapewne ważne przyczyny, zresztą każdemu z nich wolno wziąć udział w manifestacyi.

— Wolno, niewolno — zaśmiał się robotnik — to ich wybieg towarzyszko. Manifestacya to nie zabawa. Cóż to za żołnierze, którym wolno albo niewolno iść do bitwy?

— Będą manifestowali jutro — broniła pepeesowców Wanda.

— Ser odkładany dobry, ale nie rewolucya, jak powiedział nam wczoraj jeden z naszych.

— Z nami idzie bund — starała się odwrócić rozmowę.

— Bund zachęci swoich tylko, a nasi wahali się wczoraj, bo jak iść, to już ławą. Z wielkim narodem i wojsko nie łatwo sobie poradzi.

Stopniowo zeszła rozmowa na stosunki robotnicze, tymczasem Logika wstąpiła do jakiegoś domu, czego nie zauważyła Wanda. Jednak Kola od czasu do czasu oglądał się, a gdy miał wstąpić do domu, gdzie zgromadzić się miała część robotników, zwolnił kroku i rzekł do Wandy:

— Chodźcie ze mną, czekają mnie.

— Gdzież Logika? — zaniepokoiła się Wanda, rozglądając się w około.

— Poszła do swoich, idziemy towarzyszko — zachęcał wahającą się.

Przez sień dostali się na dość obszerne podwórze, w głębi którego ujrzała Wanda kilkudziesięciu robotników, otaczających mówcę, stojącego na niewielkiem wywyższeniu. Podeszli bliżej i posłyszeli:

— ...Bo i kto nas nie gniecie, nie gnębi, nie dokucza? Wszyscy! Urzędnicy, fabrykanci, przemysłowcy, a przedewszystkiem rząd despotyczny! Oni żyją naszym potem krwawym, bogacą się, używają, a nam zostawiają pracę i upokorzenie. I gdzież my znajdziem pomoc? Nie oni nam pomogą, bo duszą nas do spółki ze rządem, tylko my sami musimy sobie poradzić i pomódz. Jak my razem, wszyscy którzy dla nich pracują, weźmiemy się w kupę, jak zaczniemy walić młotem w ten ich spróchniały gmach zbytku, padnie wszystko, rozsypie się w gruzy...

I dalej mówił o konieczności działania wspólnego, a gdy Moskwa się ruszyła i walczy o wolność, nie wolno siedzieć z rękami założonemi, lecz walczyć trzeba do ostatka.

Mówca, brunet trzydziestoletni, był, jak widać z ubrania, z rąk spracowanych — robotnikiem. Nie przebierał w słowach dosadnych, nie budował okresów krasomówczych, ale rzecz nazywał po imieniu, a że mówił szczerze, słuchano go spokojnie i uważnie. Gdy skończył, podniósł się gwar głosów, roztrząsali bowiem poglądy mówcy.

Wanda przyglądała się z wielką ciekawością robotnikom. Przeważali młodzi pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem, inni byli starsi, a niektórzy szpakowaci. Z postaci ich uderzała oczy najpierw siła, ruchy ich były pewne i śmiałe. Na ich poważnych twarzach rzadko zjawiała się wesołość przy słuchaniu mówcy, z tak wielkiem skupieniem i szacunkiem chwytali słowa, lecz po skończeniu, oczy nabierały blasku niezwykłego, sypały się dowcipy i koncepta, zwrócone przeciw burżujom i rządowi.

Robotnicy czekali towarzysza, który miał dać znak do rozpoczęcia pochodu, a gdy Kola odpowiadając swym sąsiadom, podniósł głos, ktoryś zawołał:

Mówcie głośniej towarzyszu! — i zrobiono szpaler do podwyższenia.

Kola wszedł na mównicę i począł wyjaśniać konieczność i pożytek manifestacyi, a że wśród słuchaczy była Wanda, mówił pięknie, z wielkim zapałem i kończył:

— Towarzysze rozwińmy nasz sztandar, on jest czerwony od krwi naszej, on jest oznaką, że dość już tysiącletniej niewoli i wyzysku. I nie idziemy z nim, aby szukać zemsty, aby nową krew przelewać, aby niszczyć dorobek ludzkości! My chcemy tylko praw równych dla wszystkich, praw oddychania czystem powietrzem, cieszenia się promieniami słońca, pięknością natury, rozkoszowania się po pracy sztuką i muzyką. Chcemy być ludźmi, a nie zwierzętami, ciągnącemi rydwan rozkoszy, na którym panują despotyzm i kapitaliści, a ci nie szczędzą ni razów, ni upokorzeń, aż do łez, aż do krwi. Lecz oto zaświtała jutrzenka wolności, robotnik przyszedł do poznania, że na nim spoczywa jako na fundamentach cały gmach społeczny, otrząśnie się z więzów, a drżą w swych posadach pałace kapitalistów, jeszcze kilka wysiłków, a będziemy wolni. W imię tej świetlanej przyszłości, na znak związku proletaryuszów całego świata, rozwińmy sztandar i dalej w pochód! A chociaż niejeden z nas padnie, a krew zbryzga kamienie ulicy, my zwyciężymy, bo za nami prawda i sprawiedliwość! Szczęśliwy ten, kto ginie w imię idei, bo z krwi jego powstaną mściciele, i zatryumfuje wolność i sprawiedliwość. W pochód towarzysze!

Zawrzało w tłumie, oczy gorzały zapałem, policzki się rumieniły.

Ta muzyka słów i frazesów zrobiła na Wandzie, na równi jak na robotnikach wielkie wrażenie. Pierwszy raz słyszała mówcę, pierwszy raz poczuła sugestyę słowa, i ona była również gotową iść na kule, na śmierć, poświęcić swe życie dla promiennych ideałów. A w dodatku ten Kola, nietylko mówił pięknie, ale miał w oczach, w twarzy, w ruchach tyle zapału, wiary w zwycięstwo przyszłości.

Jeden jednak człowiek nie dał się porwać wymowie Koli. Stał cicho przytulony za parkanem, otaczającym podwórze, a gdy robotnicy szykowali się do pochodu, przygotowywali sztandar, szybko pobiegł w kierunku cyrkułu. Wpadł do biura zdyszany, a że podwładni wiedzieli, iż ten nikły szatyn jest wśród szpiegów ulubieńcem komisarza, dopuszczono go bez trudu przed oblicze despoty, będącego panem życia i śmierci przestępców politycznych swego cyrkułu.

Siedział rozparty za biurkiem, w galowym mundurze, brunet około lat czterdziestu. Rysy twarzy były pospolite, szpeciły ją zbyt rozrośnięte szczęki, które nadawały mu wyraz zajadłości zwierzęcej, a w niskiem czole pooranem bruzdami, w kłujących oczach, malowała się drapieżność i chytrość.

— Co nowego, Hadziar?

Zapytany skłonił się tak nisko, że mu długie, proste włosy spadły na wytarte czoło i przebiegłe wąskie oczy odpowiedział zcicha:

— Już gotują się w pochód.

Ot dobrze — i twarz rozjaśnił uśmiechem radości — chytra swołocz, a nie spostrzegli przygotowania na ich przyjęcie.

Już się wahali — mówił Hadziar tonem przychlebiającym — ale stało się, jak wasza wielmożność przewidział... o, wasza wielmożność zna tych psów dobrze.

Na razie komisarz nie wiedział, co przepowiedział, ale słowa te pochlebiły mu, uśmiechnął się łaskawie i spytał:

Któż ich ośmielił?

— Jak wasza wielmożność mówił, przyszedł inteligent, i zawrócił im głowę, zagadał o krwi, o sprawiedliwości, a te sukinsyny, jak psy zaczęli ujadać.

— Tak zawsze bywa u nich — rzekł z miną głębokiego znawcy, nacisnął guzik i zawołał do pomocnika, stojącego w postawie wyprężonej w progu — Wasyl Aleksiejewicz wszystko gotowe?

— Tak jest wasza wielmożność.

Wojsko zakryte? Kozacy gotowi?

— Według rozkazu.

— Puścić pochód spokojnie do rogu Chłodnej i Żelaznej... bramy kamienic na Chłodnej, pomiędzy Wronią a Żelazną zamknąć... sam rozkażę strzelać... po strzałach zamknąć Chłodną od Wroniej, psa nie wypuścić, kłuć bagnetami i dopiero pohulają kozacy... nauczę ja was sprzeciwiania się władzy — zaśmiał się suchym, bezdźwięcznym głosem.

Tak jest, wasza wielmożność — skłonił się pomocnik.

A piwnice dla uwięzionych gotowe?

— Według rozkazu.

— Schody spadziste? Co?

— Wystarczą — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— A prosić ich po naszemu — zaśmiał się — nie żałować mordy i żeber.

— Chłopcy wiedzą, to nie pierwsza robota — skinął rozjaśniony pomocnik.

— To dobrze, jak inni sprawią się tak samo po cyrkułach, zdusimy bunt przed południem. Nieprawdaż?

Obydwaj pochylili głowę z wielkiem wzruszeniem, mrucząc:

— Tak jest wasza wielmożność.

Komisarz skinął głową pomocnikowi, a gdy drzwi się zamknęły, rzekł do szpiega:

— Hadziar ty sprytny człowiek, nagrodzę cię, ale tego inteligenta muszę dostać w moje ręce, już ja z nim poigram — i oczy zabłysły mu dziko.

— Rad postarać się, wasza wielmożność.

— Staraj się czy nie, ale tak być musi, słyszysz?

— Tak jest.

— Wmieszasz się w tłum, będziesz w pobliżu tego agitatora, i żywcem go brać. Rozumiesz?

— Policya mnie usłucha... ale kozacy, ale wojsko, wasza wielmożność...

— Twoja w tem głowa... wywieś znak.

— Pójdę według rozkazu - skłonił głowę — a może Pan Bóg mi pomoże.

— Bez agitatora nie pokazuj się... a teraz idź!

Komisarz zwolna naciągnął białe rękawiczki, zapiął je starannie, cenił bowiem wysoko elegancyę w ubiorze, opatrzył rewolwer, i po chwili wyszedł na ulicę w otoczeniu dwóch policyantów umundurowanych i czterech w cywilnem przebraniu, aby zbadać wykonanie swych rozkazów.

Tymczasem do grupy manifestantów pod wodzą Koli, którzy wyszli z domu, poczęły się przyłączać inne grupy i tłum do dwustu robotników, z rozwiniętemi sztandarami, w zwartych szeregach ruszył Wolską ulicą ku rogatkom, niezatrzymywany przez strażników.

Pochód wszedł na Chłodną i setki głosów wzniosły wojenną pieśń proletaryuszów, Czerwony Sztandar.

I w takt tej bojowej pieśni tłum posuwał się dalej, a do manifestujących przyłączali się ciekawi, sympatyzujący, kobiety, tłumy dzieci.

Policyanci ustępowali z posterunków, patrole się cofały w boczne ulice, co napawało robotników dumą i przekonaniem, że ich postawa, ich odwaga onieśmiela policyę i wojsko.

Kola stopniowo z pierwszego szeregu został zepchnięty w głąb, a dojrzawszy Wandę, przedarł się ku niej i szli razem, ramię obok ramienia, rzucając sobie w chwilach przerwy pieśni, słowa zapału i radości.

Wchodzili obok Placu Wolskiego, gdzie z tłumem połączyli się manifestanci ze strony ulicy Towarowej, tak, że tłum urósł do tysiąca ludzi, a że parli wszyscy naprzód, obawiając się odcięcia, Logika wraz z gromadą swych towarzyszy została zepchnięta ku końcowi.

Już pierwsze szeregi przeszły przecznicę, utworzoną przez ulicę Wronią, gdy koniec pochodu był przy Placu Wolskim. Pieśń brzmiała bez przerwy z tysiąca piersi, pełna zapału i ognia.

I nikt nie wstrzymywał pochodu, nikt nie wzywał do rozejścia się, stójkowi znikali z posterunków, patrole schodziły z drogi, wchodząc w przyległe kamienice. Wszystkie okna, balkony kamienic przy ulicy Chłodnej były pełne ludzi, z niektórych rzucano kwiaty na przechodzących, śpiewano wraz z manifestantami, zdawało się, że cała ulica rozbrzmiała pieśnią tryumfu i zwycięstwa.

Na balkonie pierwszego piętra kamienicy narożnej, Żelaznej i Chłodnej, którą posuwał się manifestujący tłum, stał komisarz, i wzrokiem tygrysim patrzał na śpiewających, po chwili spochmurniał i rzekł do oficera obok stojącego:

— Ot żal, że nie dopuściłem ich chociaż do Walicowa przynajmniej.

— Dlaczego?

— Bo część za Wronią może ujść, ale czort wiedział, że tyle zbierze się tej swołoczy.

— Możeby dać znać.

— Zapóźno — westchnął, ale po chwili nachylając się zawołał do konnego żandarma — w skok dać znać kozakom na Karolkowej i Przyokopowej, aby zamknęli Chłodną po pierwszych strzałach i parli w górę.

— Słucham — salutował i bódł konia ostrogą.

Zamknięte na głucho bramy, zastanowiły Kolę i szepnął o tem Wandzie. Słowa te musiał posłyszeć idący za nim towarzysz, bo śmiejąc się dobrodusznie, zawołał głośno:

— Zamknęli się burżuje!

Kola odwrócił się i spotkał się z oczyma badawczemi Hadziara, a one mimowolnie wzbudziły w nim podejrzenie. Po kilku krokach odwrócił się i znów spostrzegł, że ten towarzysz nie odstępuje od niego, mimo wzmagającego się ścisku, który parł na boki.

Tłum rozentuzyazmowany, pewny ustępstwa policyi i wojska, powtarzał zwrotkę pieśni.



My zwyciężymy, bo za nami prawda i sprawiedliwość!

Komisarz na balkonie zmrużył oczy, aby lepiej widzieć, nagle odwrócił się i ręką w białej rękawiczce dał znak żołnierzom, stojącym pod kamienicami, aby ustawiali się w szeregu, a gdy ci zwolna szli, wrzasnął:

— Stroj sia!

Zwarł się szereg w poprzek ulicy, co widząc pierwsi z manifestantów, wstrzymali się i cały tłum zakołysał się.

— Co tam?

— Naprzód!

Takie głosy przedarły się po przez pieśń śpiewaną i pierwsza fala ruszyła.

Na sekundę przed szeregiem wojska stanął komisarz i zawołał:

— Rozejtiś!

Mało kto słyszał i rozumiał jego rozkaz, a nikt z manifestantów.

Komisarz usunął się w bok i zakomenderował:

— Palboju!

Błysnęły w słońcu lufy, czarne wyloty karabinów skierowały się na tłum, słychać było suchy trzask zamków, huk, i wybiegła błyszcząca nitka, zagwizdały kule, dźwięczały szyby tłuczone, posypał się tynk z kamienic.

Tłum się zawahał, zakotłował, kilku padło na ziemię, inni zawiśli na rękach towarzyszy, wszczął się krzyk, jęk, przekleństwa, a nad tem wszystkiem jeszcze ulatywała pieśń.

— Palboju!

Rozkazał komisarz. I znów zagwizdały kule, a zanim tłum się zoryentował, wpadli kozacy, siekąc na prawo i lewo knutami.

Za kozakami znów zwarł się tłum i szedł naprzód, lecz zagrodziły mu drogę nastroszone bagnety piechoty i wymierzone lufy karabinów.

I wśród jęku, płaczu, krzyku, klątw, wrzasków kozackich, rozdzierającego lamentu ranionych i zgniecionych, wyrwał się okrzyk:

— Ratuj się kto może!

Cofano się do bram, lecz te były zamknięte, jak również sklepy i sklepiki, uderzono w okna parterowe i kto mógł wskakiwał do mieszkań.

I znów rozległy się przeraźliwe okrzyki kozackie, krzyk rozpaczy bitych i duszonych, gdyż od strony Karolkowej i Przyokopowej wpadli kozacy.

Przy pierwszym strzale pochwycił Kola Wandę za rękę i starał się przedostać pod mur kamienicy, w jakieś wgłębienie bramy. Przerażony tłum parł także w tę stronę i stanął murem. Po drugim strzale jeden z robotników, niedaleko Wandy krzyknął przeraźliwie, kula strzaskała mu ramię i gwiżdżąc, opaliła kapelusz Wandy, a w tejże sekundzie runął z boku robotnik z rozwaloną czaszką. Ludzie odskoczyli, uważając to miejsce, jako niebezpieczne, a Kola z Wandą znaleźli się we wgłębieniu bramy. Z całych sił nacisnął Kola furtkę, zapiszczała, wygięła się, ale nie puściła. Spojrzał w około i dostrzegł kilku znajomych towarzyszy.

— Hej! Wywalmy furtkę! — zawołał zachęcająco—ratujemy się!

Przyskoczyli co bliżsi, wsparli się silnie ramionami, i furtka jęknęła, zazgrzytał zamek, gdy jeden z towarzyszy krzyknął zachęcająco:

— Razem chłopcy!

Hadziar pilnujący Koli rzekł na to drwiąco:

— Nie ujdziecie, za bramą żołnierze.

— A psubracie, szpiclu, a ty skąd wiesz o tem — zawołał wysoki, silny robotnik, pochwyciwszy Hadziara za piersi.

W tej chwili nadleciał kozak, smagając knutem, a że dwaj zacietrzewieni stali, ciął w twarz zwróconego ku sobie Hadziara. Trysła krew z rozciętej knutem rany, a robotnik potrząsłszy nim, rzucił go na ziemię. Wtem właśnie furtka z trzaskiem i hałasem upadła, a Kola wciągnął w głąb sieni bladą Wandę. A gdy towarzysze biegli w głąb podwórza, kryjąc się po oficynach, Kola z Wandą poszli frontowemi schodami.

Na pierwszem piętrze spostrzegł na błyszczącej blasze znane mu nazwisko pułkownika artyleryi i nie wahając się, zadzwonił.

Otworzył mu dieńszczyk, którego spytał tonem rozkazującym:

— Pułkownik Paweł Nikiforowicz w domu?

— Niema.

— A pani pułkownikowa?

— Wyszła.

— Chyba panna Wiera Pawłowna w domu — a na potakującą minę dieńszczyka krzyknął: — ustąp się, zameldůj — i podał bilet wizytowy.

Za Kolą i Wandą zamknęły się drzwi.

Ogłuszony uderzeniem i upadkiem Hadziar miał jednak dość siły do zerwania się w chwili, gdy Kola znikał we furtce wyłamanej, i chwiejny, party przez innych dostał się do kamienicy. Chciał skręcić na schody frontowe, lecz uniosła go na podwórze fala uciekających. Dopiero po dobrej chwili udało mu się wejść na frontowe schody, i w niszy przeznaczonej na figurę zdobniczą stanął na parterze. Chustką obwiązał ranę, w drugiej trzymał silnie odznakę ajenta tajnego i czekał pewny, że wkrótce zaczną przetrząsać domy i wówczas nie minie go nagroda przyrzeczona za schwycenie agitatora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Osobliwi muzykanci.

Kalectwo i towarzysząca mu najczęściej nędza zmuszają nieraz ludzi do wielkiej pomysłowości w dziedzinie zarobkowania na powszedni, suchy



Osobliwi muzykanci: Dwaj żołnierze hiszpańscy, którzy stracili prawe ręce w wojnie ze Stanami Zjednoczonemi, grają na ulicach Barcelony.

kawałek chleba. Rzecz prosta, że każde kalectwo bywa przez danych osobników wyzyskiwane jako „great attraction“ w celu pobudzenia publiczności do miłosierdzia. Jednakże niewidomy grajek nie może takiego wrażenia wywołać u litościwych widzów, jak hiszpańscy muzykanci uliczni, z których każdy pozbawiony jest prawej ręki, a których podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze „Now. Illustr.“

Zaiste, podziwiać trzeba tych biedaków, produkujących się w Barcelonie, na punkcie wytrwałości, z jaką musieli się ćwiczyć, aby za pomocą jednej ręki i przyprawionego do resztki drugiej przyrządu módz grać na skrzypcach i gitarze. Zaznaczyć przytem należy, iż — wedle zdania dzienników hiszpańskich — osobliwa ta para muzykantów gra wcale dobrze, naturalnie o tyle, o ile pozwalają na to osobliwe warunki, w których się znajduje.

Datki sypią się obficie, skoro tylko zaczną się produkować i to tem obficiej, gdy zgromadzeni na ulicy słuchacze dowiadują się z ich ust, że są wysłużonymi żołnierzami, którzy w ostatniej wojnie ze Stanami Zjednoczonymi nabawili się tak ciężkiego kalectwa, walcząc mężnie za ojczyznę i że ze skromnej inwalidzkiej pensyjki nie mogliby wyżyć.

Kuracya w piasku.

My, ludzie z t. zw. umiarkowanego klimatu, tęsknimy nieraz miesiącami za dobroczynnym promieniem słońca, które i nas i otaczającą przyrodę ożywia. Inaczej jednak zapatrują się na działanie słońca mieszkańcy krain na dalekiem południu, gdzie każda chmurka, przysłaniająca „oko dnia pięknego“ witana jest z radością, bo daje nadzieję tak rzadkiego a tak pożądanego w tamtych stronach deszczu.

Padające prawie prostopadle promienie króla naszego systemu planetarnego dają się we znaki nietylko Europejczykom, co zawędrowali pod zwrotniki lub równik, ale także i krajowcom. Skutkiem uciążliwych podróży, odbywanych po niezmierzonych przestrzeniach Sahary, wybuchają wśród nich złośliwe gorączki febryczne, pochłaniające nieraz mnóstwo ofiar, szczególniej wśród karawan z niewolnikami, dostarczanymi ze środka „czarnego kontynentu“. Pragnąc ratować przedewszystkiem małych niewolników, którzy są najpopłatniejszym towarem, Arabowie, uprawiający handel niewolnikami, pomimo kontroli i zakazu mocarstw europejskich, zakopują ich po ramiona w gorący piasek pustyni, w czasie, gdy dostają napadu febry.

Załączona do niniejszego artykuliku rycina przedstawia właśnie ten rodzaj prymitywnej kuracyi, której ofiarą pada zwykle około 10% nieszczęśliwych małych pacyentów. Nic w tem dziwnego, gdyż w niektórych porach dnia piasek Sahary miewa temperaturę dostateczną do ugotowania jaja na miękko.

Doniosły wynalazek.

Czytelnicy nasi niezawodnie mają jeszcze świeżo w pamięci ostatnie straszne katastrofy kopalniane, jakie wydarzyły się w Courrières, Reden i Klein Rosseln. Podobnych katastrof, choć nie zawsze w tych samych olbrzymich rozmiarach, zdarza się mnóstwo co roku, a tysiące dzielnych górników pada ich ofiarą.

Pomimo największych starań ze strony techników i górniczych inżynierów, nie udało się dotąd zapobiedz wybuchom w kopalniach, powstającym skutkiem gwałtownego połączenia się powietrza atmosferycznego z gazem kopalniom węgla ziemnego właściwym, którego znakiem chemicznym jest CH_4.

W danych wypadkach górnicy spieszą z prawdziwą pogardą śmierci na pomoc towarzyszom, którym grozi niechybna śmierć w głębokościach ziemi. Jednakże ich najwięcej bohaterskie wysiłki rozbijały się dotąd o trudność, jaką przedstawia akcya ratunkowa w przestrzeni wypełnionej trującymi gazami. Od dość dawna wprawdzie znane są i używane aparaty, umożliwiające oddechanie wśród podobnych warunków, jednakże mała ilość ścieśnionego powietrza w nich zawarta, dalej wysoka ich cena, a wreszcie stosunkowo znaczny ciężar, czyniły je mało sposobnymi do praktycznego użytku. Teraz dopiero udało się inżynierowi Suessowi (synowi znakomitego geologa, prezydenta wiedeńskiej Akademii Umiejętności) skonstruować nowy zupełnie przyrząd, wykorzystawszy dawniej poczynione odkrycia metod skraplania gazów, począwszy od Faradaya, Picteta, Cailleta, Wróblewskiego i Olszewskiego.

Jak się pokazuje z załączonej ryciny, przyrząd inżyniera Suessa, pracującego w zagłębiu ostrawskiem, jest niewielki a zatem lekki, co ułatwia swobodę ruchu zaopatrzonemu weń górnikowi. Przy tem w aparacie, o którym mowa, mieści się oprócz takiej ilości powietrza w stanie stałym, jaka wystarcza na 3 godziny normalnego oddechania, także zegar alarmowy, ostrzegający go dość wcześnie o wyczerpaniu się powietrza.



Doniosły wynalazek: Aparat wynaleziony przez inżyniera Suessa, a umożliwiający górnikom dłuższy pobyt w przestrzeni wypełnionej trującymi gazami.

Wynalazek inż. Suessa przyczyni się niezawodnie do zmniejszenia strasznych skutków kopalnianych wybuchów, gdyż ułatwi znakomicie akcyę ra-



Kuracya w piasku: Arabowie zakopują w gorący piasek pustyni małych niewolników chorych na febrę.

tunkową, podjętą na wypadek nieszczęścia w warunkach tak różnych od ratunku na powierzchni ziemi bo wśród trujących gazów i gryzącego dymu, jaki powstaje z pożarów w następstwie ich eksplozyi.

Zamach morderczy Lwowianina w Genui.

Z Genui rozeszła się wiadomość, że pewien student ze Lwowa spełnił tam zamach morderczy w celach rabunku.

Kompromitujący nas za granicą bohater kryminalny jest istotnie słuchaczem praw uniwersytetu lwowskiego, liczy dopiero lat 24, a nazywa się Wiktor Kazimierz Galusiński. Zwabił on w Genui do hotelu buchaltera pewnego banku, żeby go ograbić. Wiedział bowiem, iż ten ma przy sobie 6.000 lirów. Zamknąwszy się ze swym gościem w numerze hotelowym, Galusiński przyłożył buchalterowi rewolwer do piersi i chciał mu odebrać portfel z pieniądzmi. Ten bronił się zawzięcie, a wówczas Galusiński użył broni i ciężko go poranił. Sprawca zbrodni starał się uciec, lecz w porę policya przychwyciła go i aresztowała. Ciężko zaś ranną ofiarę zamachu odwieziono w niebezpiecznym stanie do szpitala.

Nazwisko Kazimierza Galusińskiego, którego podobiznę dziś podajemy Czytelnikom, nie jest obce w Galicyi i już parokrotnie nabrało rozgłosu chwilowego, lecz nigdy zaszczytnego. Młody ten akademik był początkowo sekretarzem „Związku fabrycznego“ we Lwowie i prywatnym sekretarzem bar. Battaglii, poczem przeniósł się do Krakowa, jako dyrektor filii owego „Związku fabrycznego“. W tym charakterze urządził Galusiński wystawę w Zakopanem, która zakończyła się wielką kompromitacyą „Związku fabrycznego“. Głośno szerzono wówczas pogłoski o malwersacyach, jakich miał się dopuścić Galusiński, a pogłoskom tym nikt nie zaprzeczał. Wkrótce potem rozpisywały się dzienniki krajowe o aresztowaniu Galusińskiego w Przemyślu w wagonie kolejowym, gdy jechał z jakąś diwą... Po tych wszystkich aferach młody rycerz przemysłu bawił jeszcze na bruku krakowskim, poczem zniknął nagle i dał słyszeć o sobie aż z Genui...

Ze Lwowa donoszą w tej sprawie, że sąd tamtejszy uznał Galusińskiego za umysłowo chorego i zamianował jego kuratorem p. Włodz. Faranowskiego.

Druga konferencya pokojowa.

Jakby na urągowisko faktom oczywistym i tendencyom, jakie ujawniają się w postępowaniu wszystkich rządów większych i mniejszych państw europejskich, Rosya dała po raz drugi inicyatywę do zebrania się międzynarodowej konferencyi pokojowej w Hadze na miesiąc czerwiec bieżącego roku. Z dziwnem zaślepieniem, jeżeli nie z umysłu, rząd rosyjski tuż przed wybuchem wojny z Japonią starał się zapewnić cały świat o swych pokojowych zamiarach, oraz dążył na pierwszej hagskiej konferencyi do sformułowania uchwał, tyczących się powszechnego rozbrojenia.



Zamach morderczy Lwowianina w Genui: Kazimierz Galusiński.

Bieg wypadków na dalekim Wschodzie zadał jednak kłam wszelkim zapewnieniom pokojowym, pochodzącym z Petersburga, a morze krwi wylanej na dzikich polach Mandżuryi, gruntownie zgasiło na czas pewien zapał zwolenników powszechnej „treuga Dei“.

Wprawdzie dotąd żadne z państw, zaproszonych na tę drugą konferencyę, nie odmówiło w niej udziału, z góry jednak można być przekonanym, że nie przyniesie ona żadnych praktycznych wyników. Zostanie podczas jej obrad wygłoszonych mnóstwo przemówień, tchnących gorącą miłością pokoju, zapisane będą stosy papieru — a w rezultacie każde z państw czy mocarstw po skończonej konferencyi nie przestanie pomnażać swoich sił zbrojnych na lądzie i morzu.

Jedynie utopiści w rodzaju baronowej Suttner, lub Steada, mogą opierać swe nadzieje na takich konferencyach przy zielonym stole.

Tak, jak wojny w czasach ostatnich przestały byś „wojnami gabinetowemi“, bo wywołują je głębsze przyczyny, niż pospolite intrygi dyplomatyczne — tak samo też sprawa powszechnego pokoju i rozbrojenia nie leży w kompetencyi obrad kilkudziesięciu ministrów, hofratów, profesorów itp. Ludzkość cała, aby módz korzystać z dobrodziejstw takiego idealnego stanu rzeczy, musi się odrodzić, stać się lepszą i rozumniejszą. Na to przecież dotąd się nie zanosi...

W każdym jednak razie powtórny eksperyment konferencyi pokojowej nie jest bez interesu; obyśmy tylko po niej nie doczekali się kataklizmu w rodzaju ostatniej wojny japońsko-rosyjskiej.

Panna Roosevelt aktorką.

Najbliższa krewna naczelnika wielkiego państwa została aktorką, a nikt z jej współobywateli nie upatruje w tem skandalu. Gdyby tak postąpić chciała również bliska kuzynka głowy panującej z rodu monarszego, napotkałaby przeszkody w stanowczym proteście rodziny, a nadto gorszyłaby się tem cała Europa filisterska. Tym razem jednak „winowajczynią“ jest Amerykanka, która, trzymając się zasady, że żadna praca nie hańbi człowieka, postanowiła swoje zdolności wykorzystać jako środek zarobkowania. I niema wcale skandalu familijnego, mimo, że na krok taki zdecydowała się bratanica rozgłośnego na obu półkulach „niekoronowanego monarchy amerykańskiego“, Teodora Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wykształciwszy się w śpiewie w dobrej szkole paryskiej, panna Maud Roosevelt śpiewała niedawno wobec dyrektora opery niemieckiej w Elberfeldzie partyę Elzy z „Lohengrina“ Wagnera i uzyskała natychmiast miejsce w jego teatrze. Wprawdzie wyobrażano sobie, myśląc po europejsku, że przyszła artystka operowa nie zacznie wcześniej swej karyery scenicznej, dopóki jej stryj nie ustąpi z u-



Druga konferencya pokojowa: Tak zwana »Sala rycerska« w Hadze, gdzie będą się odbywały posiedzenia konferencyi.



Panna Roosevelt aktorką: Bratanica prezydenta Stanów Zjednoczonych, panna Maude Roosevelt, która została śpiewaczką operową.

rzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz piękna Amerykanka (dajemy jej portret) w myśl rodzimego przysłowia, iż czas to pieniądz, zaangażowała się zaraz na najbliższy sezon do Elberfeldu. W Ameryce pierwszych kroków na scenie stawiać nie chciała. Tam bowiem, gdzie złote interesa robią tylko śpiewaczki o rozgłośnem imieniu, widzianoby w pannie Roosevelt jedynie kuzynkę popularnego prezydenta; tymczasem młoda artystka chce się poświęcić sztuce prawdziwej z zamiłowania i rozporządza nie tuzinkowym podobno talentem, przeto zamierza z początku na mniejszych europejskich scenach pracować sumiennie i dopiero w pełni rozwoju, jako już uznana śpiewaczka, powróci do ojczyzny.

Krwawe dni w Łodzi.

Krwawe, zgrozą przejmujące walki bratobójcze, toczące się wśród robotników w Łodzi, bolesnem echem odbijają się w całej Polsce. Na ulicach tego największego w Polsce miasta fabrycznego, a głównie w zaułkach dzielnicy nędzy, na Bałutach, trwają od szeregu dni rzezie potworne. Socyaliści, narodowcy, maryawici, mordują się wzajemnie. Nie ma dnia, by kronika łódzka nie notowała nowych ofiar, a były dni już takie, że po 40 trupów naliczono naraz.

Z dzienników znają już Czytelnicy polscy historyę tych dni krwawych w Łodzi, które są smutkiem dla wszystkich trzech zaborów naszej ojczyzny. Nie będziemy tu dawali pełnego obrazu tego piekła łódzkiego. Objaśnimy jedynie pokrótce kilka fotografij, zdjętych na miejscu przez naszego korespondenta, a charakteryzujących najlepiej tragedyę, jaka się rozgrywa w ponurem mieście kominów fabrycznych.



Krwawe dni w Łodzi: Dom przy ul. Dworskiej na Bałutach, gdzie do mieszkania demokratów chrześcijańskich rzucono bombę.

Zamieszczamy tedy z Bałut widok domku przy ul. Dworskiej l. 27, gdzie to przed tygodniem do mieszkania rodzin, należących do demokracyi chrześcijańskiej, rzucono bombę. Wśród huku strasznego wypadły tam wszystkie szyby i okna z futryn. Na naszej rycinie widać jeszcze drzwi wyrwane siłą wybuchu. Cudem zaiste bomba nie zabiła nikogo z mieszkańców.

Drugi dom, u nas fotografowany (l. 56, ulica Ciemna) stał się również ofiarą zamachu podobnego. I tu jednak na szczęście bomba nie pociągnęła ofiar w ludziach.



Krwawe dni w Łodzi: Dom l. 56 przy ul. Ciemnej na Bałutach, do którego rzucono bombę.

Ale za to od browningów i od noży iluż ludzi niewinnie ginie codzień w domach sąsiednich, ilu pada w kałużę krwi własnej, żeby potem z ran ciężkich i bolesnych leczyć się tygodniami; dobrze jeszcze, gdy w szpitalu, a nie w domu, o głodzie i chłodzie i bez pomocy lekarskiej wobec przepełnienia wszystkich szpitali łódzkich.

Wszak zdarzają się tam wypadki tego rodzaju, jak na przykład taki: Do mieszkania robotnika Marcina Motyla wpada grupka ludzi uzbrojonych, dopytując się o syna (należącego do esdeków). Nie było go w domu, więc napastnicy odeszli. Lecz wieczorem wrócili, a otrzymawszy podobną odpowiedź, że młodego Motyla niema, dobyli rewolwerów i dziesięciu strzałami zabili na miejscu ojca poszukiwanego. Na załączonej rycinie widzimy niewinną ofiarę na marach, a wokoło zamordowanego ojca rodzina osierocona, wdowa, 6-letnia córeczka i syn, ten sam właśnie, którego zabójcy szukali napróżno.

Inną znów tragedyę przypomina załączony widok sklepu związkowego przy ulicy Aleksandrowskiej na Bałutach. Do tego sklepu, należącego do stowarzyszenia robotników ze stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego, wtargnęło kilku młodych ludzi i odrazu zaczęli strzelaninę. Ofiarą skrytobójców padło na miejscu trzech ludzi: zarządzający sklepem 52-letni Adam Ciesielski, jego pomocnik 16-letni Kasper Kubis i wreszcie Antoni Krzyżaniak, który staremu Kubisowi pomagał zabrać zwłoki zabitego syna.

Oto garść tylko przykładów z tego, co się dzisiaj dzieje w Łodzi.



Krwawe dni w Łodzi: Sklep Związku chrześcijańsko-demokratycznego przy ul. Aleksandrowskiej l. 37. na Bałutach, na który dokonano szeregu napaści, przyczem zabito kilku ludzi.

Najwyższy „drapacz nieba“.

Piękno i rozmiary budynku nie zawsze idą w parze. Niewielki nawet budynek może być pieścidełkiem architektury — podczas gdy kolos, w jakich wznoszeniu lubują się szczególniej Jankesi, najczęściej bywa czemś potwornie brzydkiem. Obecnie znów wzniesiono w Nowym Jorku jeden z takich potworów, którego widok zamieszczamy.

Gmach ten mieszkalny, własność Towarzystwa ubezpieczeń na życie „Metropolitan“, zajmuje przestrzeń 9·29 hektaru razem z przybudówką w rodzaju olbrzymiej wieży, mierzącej 201 metrów wysokości, tj. przeszło dwa razy więcej niż wieża przy kościele Maryackim w Krakowie. U szczytu, na 46 piętrze jej została urządzona galerya, skąd roztacza się wspaniały widok na miasto i okolice.

Jedyną w swoim rodzaju tę budowlę z kamienia i cegły wzniósł architekt Napoleon Le Brun, Francuz z pochodzenia, wzorując strukturę wieży na włoskich kampanilach. Słuszność nakazuje wyznać, że z założonego a trudnego zadania wybrnął on co do wieży dość szczęśliwie, podczas gdy reszta gmachu trzymana jest w zwykłym stylu „drapaczów nieba“ a przeznaczona — głównie na sklepy i składy towarowe. Na płaskim dachu projektowane jest założenie wspaniałego ogrodu, przeznaczonego specyalnie dla użytku miliarderów nowojorskich.

Przy wrodzonej Amerykanom manii wznoszenia olbrzymich budynków, można z góry przewidzieć, że „drapacz“ wzniesiony przez Francuza nie da im spać spokojnie. Wkrótce tedy usłyszymy prawdopodobnie, że wzniesiono z drugiej strony Oceanu nowy gmach, który rozmiarami pobije rekord obecnego lewiatana architektury.

Z polityka lekarz.

Leży to już w naturze niejednego człowieka, że lubi oddawać się zajęciom ubocznym, nie mającym nic wspólnego z jego własnym zawodem. Fryderyk W. uważał się na przykład za większego flecistę, niż wódza lub polityka, Napoleon I sądził, że jest pierwszorzędnym szachistą, chociaż grał bardzo słabo, znaną jest zarozumiałość Bismarka na punkcie spraw rolnictwa itd. Nie tak często jednak zdarza się, aby ktoś z dojrzałych wiekiem mężów, poświęcających się polityce, uprawiał jako rodzaj sportu, naukę tak żmudną jak medycyna.



Z polityka lekarz: Hr. M. Vetter von der Lilie, były prezydent austryackiej Rady państwa, który obecnie studyuje medycynę w Wiedniu.



Krwawe dni w Łodzi: Nad zwłokami zabitego na Bałutach w walkach bratobójczych robotnika Marcina Motyla.

Znalazł się przecież ktoś, co właśnie postanowił uzupełnić swoją wiedzę na tym punkcie, a jest nim były namiestnik Moraw, a później ostatni prezydent austryackiej Rady państwa, hr. Maurycy Vetter von der Lilie, który złożył już drugie rygorosum medyczne, z postępem celującym, na uniwersytecie wiedeńskim.

Kto wie, czy kiedyś nie uda się mu z większym skutkiem uzdrawiać ludzi naprawdę cierpiących, niż dotąd jako mężowi stanu, udawało mu się „uzdrawiać“ stosunki polityczne w monarchii habsburskiej z tej strony Litawy.



Najwyższy drapacz nieba: Nowo wzniesiony dom w Nowym Jorku, którego szczyt wznosi się do wysokości 201 metrów.

Björnson oszczercą Polaków.

Można być znakomitym pisarzem i działaczem społecznym, a pomimo tego popełnić kapitalny nietakt, że użyjemy tego delikatnego określenia co do napaści Björnstjerna-Björnsona na Polaków, jakiej dopuścił się w wiedeńskim dzienniku „Zeit“ w obronie rzekomo bardzo uciśnionych Rusinów w Galicyi.

Niezawodnie wolno jest norweskiemu pisarzowi otaczać swoją nieproszoną sympatyą naszych współmieszkańców w Galicyi — ale nie wolno mu na rzecz tej sympatyi fałszować faktów, względnie nie mieć jasnego pojęcia o kwestyi, którą w tak brutalny i stanowczy sposób poruszył.

Spotkała go za to słuszna odprawa. I tak poseł polski do Dumy W. Grabski, zaskarżył Björnsona w sądzie wiedeńskim za wyrażenie, użyte w artykule wspomnianym, jakoby tenże poseł miał oświadczyć na konferencyi w Wyborgu, że za cenę autonomii Królestwa Polskiego gotowi są Polacy wyrżnąć wszystkich rewolucyonistów. Następnie zaś, oprócz licznych odpowiedzi w prasie polskiej — ukazał się w tej samej „Zeit“ wiedeńskiej otwarty list naszego znakomitego muzyka Paderewskiego, który w sposób prawdziwie druzgocący odparł wszystkie zarzuty wytoczone Polakom przez norweskiego pisarza. W liście tym wykazał on dobitnie krzyczącą ignorancyę — jeżeli nie złą wolę — Björnsona na punkcie znajomości stosunków galicyjskich, dalej zaś dowiódł całej niestosowności wystąpienia tego niepowołanego wcale obrońcy Rusinów.

Swoje doskonałe wywody kończy Paderewski temi słowy: „Wreszcie pozwól Pan sobie z całym szacunkiem oświadczyć: prawdzie oddałeś Pan złą przysługę“.

To zdanie podzielać musi każdy, nietylko Polak, lecz uczciwy i rozumny człowiek.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

4 (Ciąg dalszy).

Nieprzyjaciele oskarżonego rzucali się na niego z wściekłością! Mówiono o nim jako o nieznanem nikomu indywidyum, zawdzięczającem swoje stanowisko wypadkowi, brakowi skrupułów, a przedewszystkiem posagowi żony — z którego sprytny mąż uczynił wspólną własność małżeńską.

W początkach podstępny, prawdziwy jezuita — okazywał żonie nadzwyczajne względy, naturalnie przy ludziach — ale niedługo zrzucił maskę. Nieszczęśliwa kobieta najwidoczniej zamierała. Pewnie musiał się z nią okropnie obchodzić. Prawdopodobnie bił ją i maltretował!...

Kilku odprawionych służących rozsiewało potworne historye. A jakie bezwstydne życie prowadził!...

Nie zadawalając się szerzeniem kłamstwa, niszczeniem spokoju małżeńskiego wielu rodzinom — ulatniał się często do stolicy — gdzie ludzie wiarogodni i poważani, widzieli go ku ogólnemu oburzeniu — wychodzącego nocą z domów, używających ustalonej a najgorszej opinii.

Tylko te same oburzone dusze nie dodawały, że oni sami uczęszczali z przyjemnością do tych nor wyklętych!

I naturalnie bawiąc się w ten sposób — puszczał majątek, zaniedbywał interesa! — Mówiono już, że jego majątek jest fikcyjny — zbytkowne prowadzenie domu — kłamstwem, dla zamydlenia oczu naiwnych, i że z pewnością w kasie brakowało już rezerwowych kapitałów.

I dlatego to roku zeszłego wymógł na nieszczęśliwej ofierze, z iście szatańskim sprytem — zrzeczenia się posagu i asekurowania jej życia na wysoką sumę. Choć gracz to był nielada — sprawki jego nie uszły uwagi opinii.

Dodawano jeszcze, że pomimo męczarń, które zadawał żonie, ta ostatnia żyła jeszcze jak na złość — i to spowodowało zamysł okropnej i wstrętnej zbrodni — celem prędszego zagarnięcia pieniędzy! To przecież było wszystko jasne.

Córkę jego Alicyę „przyjaciele“ otaczali opieką i życzliwością — lecz z daleka, by się zanadto nie kompromitować. Biedna dziewczyna już teraz nie będzie tak dumną, zostawszy zupełną sierotą — bo nie ulegało wątpliwości, że zbrodniarza spotka zasłużona kara i zginie marnie na szafocie!...

A to jej małżeństwo, o którem tak głośno mówiono! Co za upadek! Co za wstyd teraz dla niej! I ten pan Morinval, szukający zięcia pomiędzy urzędnikami sprawiedliwości — czy był tak naiwny myśląc, że fakt ten podniesie go w opinii publicznej i odeprze podejrzenia!?

Z całej tej sprawy najwięcej korzystały dzienniki — „Błyskawica“ i „Strzała“ — które prowadziły w swych szpaltach zaciekłą polemikę. Pierwszy dziennik z uporem bronił oskarżonego — drugi napadał na Morinvala bez litości — podając różne skonstatowane dowody — pochodzące z mętnego źródła. Przyszło do bójki ulicznej pomiędzy redaktorami, w której laski i kapelusze fruwały w powietrzu.

Nareszcie jednego dnia oznajmiły dzienniki ostatni dzień rozprawy... Sędzia śledczy miał odczytać wyrok.

Jedenasta godzina biła na ratuszu. Germonprè stał w swoim gabinecie, plecami oparty o okno, blady — widocznie oczekując kogoś. Na prawo nad stołem, zarzuconym aktami, siedział protokolant, zasuszony, łysy staruszek — gryząc niecierpliwie obsadkę pióra! Odgłos kroków, rozlegających się w kurytarzu, przerwał to miłe zajęcie urzędnika. Pisarz, maszyna biurowa, miał obowiązek jaknajspieszniej i najdokładniej zapisywać zeznania oskarżonego, starając się nic nie rozumieć, nie pamiętać nazwisk osób, które jako świadków zapisywał na długich rejestrach — a przedewszystkiem nie wtrącać się do badania.

Wszedł mężczyzna, prowadzony przez dwóch żandarmów. Jeden z nich trzymał koniec łańcuszka, którym oskarżony był skuty. Na znak sędziego żandarm szybko zdjął kajdanki i schował do kieszeni.

— Możecie odejść — rzekł Germonprè — bądźcie w korytarzu na każde zawołanie.

Żandarmi, ukłoniwszy się — wyszli. Oskarżony i sędzia stali teraz naprzeciw siebie.

Chwilę trwało przygnębiające milczenie. Przeciwnicy przenikliwie patrzeli sobie w oczy. Berton-Morinval był mniejszy od swojego antagonisty — lecz tęższy. Włosy miał siwe, wąsy długie spadające ku dołowi, zupełnie białe. Twarz jego była bardzo chuda o wystających kościach policzkowych, oczy otoczone siną obwódką. Drżenie nerwowe przebiegało jego postać.

— Usiądź pan — rzekł zimno Germonpré — po kilku chwilach bystrej obserwacyi.

Morinval, wyczerpany, osunął się bezwładnie na krzesło.

Germonpré zabrał głos:

— Zdaje mi się, że już wielki czas zakończyć tę sprawę. Czy chce pan nareszcie przyznać się do wszystkiego i zaniechać tych wykrętów?

— Wykrętów? — zawołał przemysłowiec — pan mówisz o wykrętach. Pan śmiesz...

— Bądź pan ostrożny!...

— Po co? By pogorszyć jeszcze mój los, który pan trzyma w rękach! Dzięki panu, jestem zgubiony, choć pan wie najlepiej, że jestem niewinny.

— Proszę mi to udowodnić!

— Wykazanie mojej winy należy jedynie do pana!

— To też, staram się o to.

— Jesteś pan sprytnym! Z szatańską przebiegłością nagromadziłeś na mnie sidła, uprzedzenia, obciążające mnie drobiazgi, do których wiadomości doszedłeś w niecny sposób, grzebiąc w tajnikach mojego prywatnego życia, przesadzając i przeceniając najdrobniejsze fakta.

— Zwracam pańską uwagę, w osobistym pana interesie, że dosyć już tej próżnej gadaniny. Proszę o fakta!

— W moim interesie! Czysta ironia! Jak pan chcesz, żebym się bronił przed podłem i śmiesznem oskarżeniem pana, które panu podyktowała długoletnia nienawiść ku mnie!

— Proszę się uspokoić, bo każę pana odprowadzić do celi!

— Pan mi zabraniasz mówić i bronić się! to jasne!

— Przeciwnie, wzywam pana do ostatecznego wytłómaczenia się! Lecz obelg nie znoszę!

— Wytłómaczę sprawę przed sędzią bezstronnym, oddanym jedynie obowiązkowi, próżnobym się silił uczynić to przed panem, który jesteś podłym katem!

Germonpré wyprostował się jak struna z błyskawicą w oczach. Zaciskając nerwowo zęby uderzył silnie pięścią w biurko. Powstrzymał przekleństwo, wybiegające na usta.

— Uprzedzam pana — wycedził spokojnie tak jakgdyby nie miał powodu do obrazy — że po raz ostatni znoszę obelgi pańskie!

— Tak! — odparł więzień — przecież tutaj jesteś panem położenia... wiem o tem aż nadto dobrze... lecz niedługo... przed sądem przysięgłych zdemaskuję pana.

Sędzia uśmiechnął się złośliwie i ruszył ramionami.

— To panu się na nic nie przyda. Lepiejbyś zrobił, broniąc siebie!

— To jest już rzeczą mojego adwokata... ale to co powiem... słyszysz pan... zabije pana w oczach sędziów...

I drżąc na wspomnienie tortur, które przechodził od dnia aresztowania, z iskrzącymi się gniewem oczami, Morinval szedł śmiało ku sędziemu.

Germonpré przeląkł się i szybko wyciągnął rękę do dzwonka.

— Nie bój się pan — rzekł pogardliwie Morinval. — Nie uderzę pana... ani nie mam zamiaru pana zamordować... bo byś za mało cierpiał... Pozwól mi mówić dalej...

— Przyznaj pan, że jestem dziwnie cierpliwy!

— Tak — rzekł Morinval — powtarzam, że oskarżeniem swojem zabiję pana moralnie... Powiem, żeś mnie przez siedm tygodni nieprawnie trzymał w zamknięciu... Nieprawnie! tak — ale nie niepotrzebnie. Myślałeś, że uczyniwszy mnie niezdolnym do obrony pod wpływem samotności, zrobisz mnie łatwo dla siebie ofiarą — podczas gdyś pan zbierał przez ten czas, najniedorzeczniejsze oskarzenia i śmieszne dowody... Powiem, że o różnych porach nocy, wchodziłeś do mojej celi, nadsłuchując, czy nagle przebudzonemu nie wymknie się jakie kompromitujące słowo, które byłoby nową bronią w twoich rękach! Powiem, że chcąc mnie zupełnie zniszczyć, upokorzyć, nie oszczędziłeś mi niczego! Mogłeś pan mnie kazać wodzić tylnemi korytarzami, prowadzącemi od więzienia, aż tutaj do pałacu Sprawiedliwości — tymczasem prowadzono mnie główną ulicą, zakutego, pomiędzy dwoma żandarmami i gawiedzią uliczną, naśmiewającą się z mojego nieszczęścia!

Powiem również, że zapomniawszy o własnej godności, sprowadziłeś naumyślnie kilka pań z towarzystwa, którym chciałeś przedstawić ciekawy widok: oskarżonego i zakutego Bertona-Morinvala! Tryumfowałeś pan, wskazując im „zbrodniarza“. Czy prawo pozwala na takie podłości? Czy pańscy przełożeni nie powstaną przeciw panu, gdy głośno opowiadać im to będę na rozprawie? I jeszcze powiem, że z dziką surowością sam skracałeś odwiedziny mojej biednej córki, podsłuchując naszą bolesną rozmowę, którą prowadziliśmy po przez kraty! W końcu powiem, że napróżno uniżyłem się i spodliłem prośbą, błagając na kolanach o pozwolenie uściskania mojego dziecka. Obawiałeś się podobno, bym potem nie popełnił samobójstwa i nie uszedł twojej ręki!

— Ta sentymentalność, która stanowi rażące nielogiczności ze sprawkami pana z przeszłości, stanie się dla pana może okolicznością łagodzącą przed trybunałem — przerwał sędzia. — Dla mnie to rzecz bez wagi.

— Oh! nie oszczędziłeś mi pan niczego — ciągnął dalej oskarżony głosem przerywanym od wzruszenia — zmusiłeś mnie do podłej, okropnej konfrontacyi z trupem mojej żony...

— To był mój obowiązek!

— Czy obowiązek kazał panu zawiadomić formalnie o tem publiczność, rzucając mnie na pastwę jej ciekawości!... Oh! nienawiść podszeptywała panu iście szatańskie wymysły!

— Czy pan już skończyłeś? — zapytał Germonpré sucho. — Cierpliwość moja już się wyczerpała!

— Powiedz pan: chytrość! Pański wystudyowany spokój i obojętność mają na celu doprowadzenie mnie do ostateczności. Czekasz na nagłe wyznanie, którem mogę się zdradzić w chwili zapomnienia! Ale pan się myli! Będę ciągle niezmiennie powtarzał: jestem niewinny!

— Dobrze, ale w całem tem wystąpieniu pana nie usłyszałem ani jednego słowa, mogącego wyznać tę niewinność.

— Będę się tłómaczył, ale nie przed panem!

— Ejże! Bądź pan raz otwarty! Nie wytłómaczysz mi dla tej łatwej przyczyny, że nie masz nic na swoją obronę.

— Da się to widzieć.

— A więc, przemów-że pan! Jeszcze nie dokończyłem sprawozdania i jeżeli mi pan poda jakie fakta... jakie dowody...

Germonpré mówił to głosem fałszywej życzliwości.

— Nie dbam o pańskie zasadzki — odpowiedział Morinval — ale gotów jestem mówić. Ostrzegam jednak pana, że podpiszę protokół dopiero po dokładnem zbadaniu, co zawiera, z zastrzeżeniem, że nic w niem ani dodanem ani ujętem nie pozostanie... Może pan teraz pytać — będę odpowiadał...

— To jest niepotrzebne. Pan wie, jakie oskarżenie ciąży na panu, więc ma pan prawo je odeprzeć.

Berton-Morinval zastanawiał się przez chwilę, przymknąwszy oczy, podczas gdy Germonpré na pozór obojętny, porządkował papiery na swem biurku.

— Słucham pana — przemówił sędzia.

— Jest panu wiadomem, jak wogóle wszystkim — zaczął oskarżony — że Matylda, moja żona, od lat trzech była dotknięta chorobą żołądka, na którą bardzo silnie cierpiała. W okropnych tych bolach używała morfiny, która jedynie sprawiała jej ulgę, lecz z czasem przyzwyczajenie się do tej trucizny stało się dla niej niebezpiecznem. Napróżno ukrywałem przed nią flaszeczki i proszki. Potrafiła zawsze zmylić moją czujność. Doprowadziła do tego, że nie mogłem walczyć z nią o to dłużej...

— Przeciwnie!

— Pańskie insynuacye nie dotykają mnie! Lekarz nasz domowy, sądząc, że tym sposobem zniszczy tę fatalną namiętność, zalecił jej używanie likieru Fowlera... Pan musiał o tem słyszeć... wszyscy wiedzą o tem, że znajduje się w tym likierze arszenik...

— Proszę kończyć! Przypominam sobie rzeczywiście, że znaleziono podobną receptę.

— I tem właśnie chce mnie pan zgubić! Wiadomem jest panu, że często aptekarze wydają dalsze flaszki lekarstwa, nie każąc sobie za każdym razem przedstawiać recepty.

— To drobnostka... mów pan dalej...

Pewnego dnia znaleziono Matyldę nie żywą....

— A pan właśnie był nieobecny!

— Nie mogłem się spodziewać podobnej kata-

strofy!... Szczególnie tak nagle! Dnia poprzedniego opuściłem pokój żony dość późno... była zupełnie spokojna...

— Wiadomość o jej śmierci doszła pana w chwili gdyś z pokaźną sumą w kieszeni siadał do pociągu, chcąc udać się do Szwajcaryi...

— Tak jest, tak! Miałem tę sumę wypłacić mojemu klientowi... Miałem powrócić zaraz, nazajutrz.

— Nie mamy dowodów na to...

— Przedewszystkiem nie staram się wcale utwierdzać pana w tej wierze, ale wymagam trochę logicznego rozsądku. Czy mógłbym, czując się winnym, uciekać i pozostawić tu tak wszystko?!... I po co? By ogłosić moją zbrodnię całemu światu?!...

— Tracąc głowę, nie myśli się o wszystkiem! Nie przysposobił się pan należycie do walki. Uciekał pan instynktowo... Czekam końca.

— Sprowadzono mnie z powrotem i...

— Ależ dalej... dalej... opuść pan to! Pańskie niejasne odpowiedzi... dziwaczne zachowanie się, lekki tryb życia, jaki prowadziłeś... podchwycona korespondencya... o której jeszcze będzie mowa... stanowiły dość dowodów, by pana aresztować.

— Moje zachowanie się? moje odpowiedzi? Ależ ja byłem zaskoczony tem nieoczekiwanem nieszczęściem, przybity, nieprzytomny... Co do życia, które wiodłem... to już moja rzecz... było mi wolno postępować według woli... tembardziej, że w domu nikt na tem nie cierpiał...

— Nikt? a pańska nieszczęśliwa żona?

— Oh! Ona wiedziała o tem z podłych, anonimowych listów... Lecz usłużni fatygowali się na próżno! Po osobistem wytłómaczeniu się z mojej strony, Matylda, będąc tak chorą, zrozumiała sama, że winny nie byłem... i moja przyjaźń dla niej i oddanie nie ucierpiały wcale na tem... Zresztą, pan lepiej niż kto inny jest poinformowany w tych rzeczach... Matylda postanowiła wypowiedzieć wyraźnie swoje zdanie o tem przed żoną pańską i kilkoma innemi paniami. Oh! pomimo ostrożności pana, zobaczymy, czy te osoby zdobędą się na fałszywą przysięgę podczas rozprawy...

— Przypuśćmy, że ten fakt jest autentyczny. Dowodzi on tylko, jak wielki i zgubny wpływ wywierałeś pan na tę nieszczęśliwą kobietę, jeżeli ona publicznie odważyła się tłómaczyć postępowanie pańskie. Będzie to jeden dowód więcej, wykazujący brutalny charakter pana i grubijańskie zachowanie się względem żony. W tem samem źródle odnajdziemy przyczynę, dlaczego żona pańska, z takiem pokornem posłuszeństwem, zgodziła się na asekurowanie się na korzyść pana.

— Ależ ona sama tego pragnęła! Lękała się przyszłości. Jeden z naszych przyjaciół, urzędnik towarzystwa ubezpieczeń na życie, sam nas usilnie namawiał do tego obopólnego zaasekurowania się...

— Czy pan uważa, że system, który obierasz, jest zbawienny? Lepiejbyś uczynił, przyznając się nareszcie do winy... i wtedy miałbyś jeszcze choć prawo do litości.

— Wymagam sprawiedliwości! Powiedz mi pan, co zyskujesz, wyciągając tę sprawę naszej asekuracyi? Czy podobne rzeczy nie praktykują się codziennie pomiędzy osobami związanemi ze sobą?

— Nie przeczę... ale gdy jedno z tej spółki umiera śmiercią gwałtowną, obowiązkiem sprawiedliwości jest zbadać sprawę. I to też uczyniliśmy. A teraz broń się pan...

Oskarżony oparł się o biurko, nad którem siedział, zdający się nic a nic nie widzieć ani słyszeć, spokojny, zamyślony pisarz. Oparłszy brodę na ręce Morinval patrzył przed siebie i nie słyszał już słów sędziego. Myśl jego błądziła gdzieindziej.... myślał o swojej córce Alicyi... Co ona też teraz robi? gdzie jest? Na chwilę przeniósł się myślą do warsztatów, pomiędzy swoich robotników. Dreszcz zimny przebiegł go.

Zapomniawszy o własnych przebytych męczarniach, myślał, że na córkę jego spadnie straszna, niezasłużona hańba, że będzie ona w opinii publicznej dzieckiem zbrodniarza, a może nawet posądzą ją o współudział w zbrodni. Alicya jest odważna i dzielna dziewczyna!

O tak! ona oczyści jego pamięć, ale za cenę jakich ofiar? Oh, ten Germonpré! ten potwór! Był tak bezsilnym wobec niego! I taki wyczerpany! W skroniach pulsa biły mu jak młotem, żelazna obręcz uciskała głowę.

Suchy głos sędziego przywołał nieszczęśliwego do przytomności. Germonpré od chwili obserwował go i zdawał się odgadywać myśli, snujące się w wyczerpanym przez zmęczenie mózgu.

— Widzisz pan sam — przemówił — że nie jesteś w stanie dać mi choćby jednego dowodu, świadczącego na korzyść pana.

Zimno, cedząc słowa powoli, zaczął wyliczać oskarżonemu liczne fakta, które z dziwną skrzętnością pozbierać musiał w celu wykazania zbrodni znienawidzonego rywala.

Morinval słuchał ponury, nie usiłując przerywać...



Dzięki panu, jestem zgubiony, choć pan wie najlepiej, że jestem niewinny...

— No widzisz pan — zakończył tryumfująco sędzia. — To, co panu teraz powiedziałem, zachwiało zwykłą pewność pana. Wszystko pana potępia. Żądałeś powtórnego, drobiazgowego przejrzenia sprawy. Uczyniłem zadość żądaniu pana i to ostatecznie pana zgubiło. Zebrane wiadomości o prywatnem życiu pańskiem były dalszym ciągiem oskarżających dowodów... Co do mnie zaś... nie chciałem sobie nic mieć do wyrzucenia, a przedewszystkiem chciałem odeprzeć insynuacye pana, twierdzące, że prowadzę badanie tej sprawy stronniczo.

W tej chwili Morinval podniósł głowę. Dostrzegł na twarzy swego przeciwnika wyraz lekkiej, zwierzęcej radości, że pierwszą jego myślą było rzucić mu się do gardła i udusić.

Lecz powstrzymał się siłą. Chciał dalej walczyć. bronić się.

— Wysłuchałem spokojnie całego szeregu faktów, które według przekonania pana obciążają mnie, zaręczam tylko, że są to niecne, podstępne kłamstwa, pozbierane tylko w celu zgubienia mnie!

Uśmiech przemknął po wąskich wargach sędziego.

— Frazesy! — zawołał. — Przecież nietylko ja pana oskarżam. Czy powie pan również, że rzeczoznawcy kłamią?

— Rzeczoznawcy! — westchnął Morinval. — Wiadomem jest, jak często ci poczciwcy się mylą. Oh! tak! ci przecież nie mają osobistych powodów do potępienia mnie. Uczynili to, co im kazano! Słyszysz pan: co im kazano! Powiedziano im, że popełniono zbrodnię, więc czynili co mogli, aby ją odkryć. Oni to przecież wspólnicy policyi, mściciele sprawiedliwości! Oni nie zadawalają się faktami łatwymi do uchwycenia, grzebią, szperają, żeby koniecznie wykazać istnienie zbrodni. I wtedy, pan wiesz o tem, w tej zaciekłej gorliwości, stają się oni często ofiarami pomyłki.

Morinval się unosił. Krew mu nabiegła do twarzy, zacisnąwszy pięści, głowę ku sędziemu wyciągnął, krzycząc mu prawie do ucha:

— Powiadacie, żem żonie dał truciznę do wypicia! Ależ ja jej nigdy żadnych lekarstw nie podawałem! To rzecz dowiedziona!

— Zapewniam pana, że te wszelkie badania, sprawozdania, raporta są bardzo dokładne i prawdziwe.

— Ależ to nie ja pielęgnowałem żonę w chorobie!

— Oh! — zawołał żywo sędzia. — Teraz pan najoczywiściej kłamie. Przed chwilą zeznałeś, że czuwałeś późno przy niej w nocy, w której dokonano otrucia.

— To straszne!... Więc co mam mówić? Co czynić? — zawołał z rozpaczą Morinval i rozpaczliwym ruchem uchwycił głowę w dłonie.

Germonpré, ukrywając zręcznie swoją radość, bawił się nożykiem do rozcinania papieru, leżącym na biurku.

Morinval opamiętał się prędko. Był to człowiek silny i trzeźwy.

— Badanie wykazuje — ciągnął dalej świszczącym, urywanym głosem — że znaleziono ciało mojej żony skurczone...

— Tak. Czego to dowodzi?

— Nasza służąca Marya zeznała również, że wszedłszy do pokoju swej pani o drugiej w nocy, zastała ją zimną już, skurczoną. Przelękła się i zamiast pobudzić służbę, uciekła do swojego pokoju i wskoczyła do łóżka i dopiero nad ranem odważyła się powiedzieć o tem. Ona tak zeznała, tak przysięgła!

— Ależ to nie jest wcale dowodem.

— Arszenik nie działa nigdy w sposób tak gwałtowny; rozumiesz pan, nigdy!

— Doprawdy? Gdzie i kiedy tego pana uczono? To słaby rodzaj obrony, zapewniam pana. Czepiasz się, widząc prawdę na jaw występującą, jakiejś nielogicznej polemiki naukowo-medycznej, gdy przed chwilą obrzucałeś wszystkich najzgryźliwszym sarkazmem. To wielka niezręczność z pańskiej strony! No i to jest wszystko, co znajdujesz, żeby się oczyścić z zarzutu? W moich oczach jestto nic i sądzę, że ława przysięgłych w ten sam sposób zapatrywać się na to będzie. Ja przynoszę mnóstwo oskarżających pana dowodów, a pan nie jesteś w stanie odeprzeć ani jednego.

— Jestem niewinny!

— Choćbyś pan to do jutra powtarzał, nie polepszy to sprawy... Myślałem, że dzięki temu ostatniemu badaniu, któremu pana poddałem, zmienisz swój system przeczenia wszystkiemu. Byłbym z przyjemnością dopisał okoliczności łagodzące. Ale pan trwasz w uporze. Tem gorzej... Badanie skończone, reszta zależy od sędziów przysięgłych. A teraz odczytamy panu sprawozdanie w całości, bez dodatków, bez wykreślań.

— Przedtem jednak mam panu zadać ostateczne pytanie. Jak pan widzi, jestem spokojny. Utrzymujesz pan, że wypełniasz swój obowiązek. W takim razie wypełniasz go w sposób nieludzki. Prawo nie jest ani tak okrutne, ani tak bezwzględne. Uczyniłeś pan, co tylko mogłeś, by mnie upokorzyć, torturować...

— Obrażasz mnie pan!

— Jeszcze nie! Słuchaj mnie pan dalej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zmiany w dowództwie krakowskiego korpusu.

W przeciwieństwie do niektórych miast w Austryi, które także są siedzibą komend korpusów



Zmiana w dowództwie krakowskiego korpusu: Gen broni A. Horsetzky, który ustąpił z dowództwa w stan spoczynku.

armii — Kraków od lat przeszło dziesięciu posiadał w swych murach dowódców korpusu, którzy pozyskali sobie uznanie i sympatyę jego mieszkańców swem taktownem a pełnem przychylności dla nich postępowaniem.

Do rzędu takich wzorowych generałów na najwyższych stopniach wojskowych należał poprzedni dowódca I-go korpusu, bar. Albori, a w jego ślady wstępował świeżo przeniesiony w stan spoczynku generał broni Adolf Horsetzky, po 42 latach czynnej służby.

Gen. Horsetzky odznaczał się sympatyami dla naszej narodowości, czego dawał dowody chętnie zwracając się do żołnierzy Polaków w ich języku rodzinnym, a także utrzymując wraz ze swoją rodziną, żywe stosunki, z towarzystwem cywilnem w Krakowie.

Następca gen. Horsetzky'ego, marszałek polny porucznik Maurycy Steinsberg, nie jest dla Krakowa obcą osobistością. Urodził on się bowiem w grodzie podwawelskim. przez pewien czas uczęszczał tu do szkół, a wreszcie był nie tak dawno temu dowódcą 23-ciej brygady piechoty również w Krakowie stacyonowanej. Obecnie powraca do Krakowa z Józefowa, gdzie spełniał funkcye dywizyonera piechoty, ale już jako dowódca korpusu i generał komenderujący.

Można spodziewać się zapewne, iż osobiste przymioty gen. Steinsberga, oraz dobre tradycye, jakie otrzymał w spadku po swych poprzednikach, utrzymają harmonię między ludnością cywilną a wojskiem na terytoryum jego władzy podległem, harmonię, która gdzieindziej bywa często zakłócaną, ale nie przez ludność cywilną.

Goście japońscy w Europie.

Coraz usilniej dąży Japonia do tego, aby pod każdym względem dorównać państwom europejskim. Między innemi zachowanie dyplomatycznych form grzeczności oraz kurtoazyi wobec dworów zagranicznych, przyczyniło się znacznie do wyrobienia „państwu wschodzącego słońca“ miru wśród mocarstw i państw kulturnych.

I teraz znów mikado, odwdzięczając się za odwiedziny księcia Connaught, który imieniem Edwarda VII przywiózł mu insygnia orderu Podwiązki, wysłał do Anglii kuzyna swego ks. Fuszimi, aby podziękował angielskiemu władcy za to wysokie odznaczenie. Przy tej sposobności książę japoński odwiedzi także prawdopodobnie kilka stolic europejskich a być może że i Berlin.

Ze strony oficyalnej japońskiej zapewniają, że obecne odwiedziny ks. Fuszimi nie mają znaczenia politycznego. Prasa europejska nie bierze jednak na seryo jej zapewnień, przypuszczając słusznie, że ze względu na sojusz angielsko-japoński wizyta ks. Fuszimy w otoczeniu dużej świty jest czemś więcej, niż prostym aktem grzeczności.

Ks. Fuszimi liczy obecnie lat 48. Brał udział w wojnie chińsko-japońskiej, w wyprawie na Formozę i w ostatniej wojnie z Rosyą. Wszędzie odznaczył się wielkiem męstwem i niepospolitemi zdolnościami wojskowemi. Znany jest w swojej ojczyźnie jako szczególny opiekun rolnictwa i przemysłu. W Europie był kilka razy, a podczas koronacyi ces. Mikołaja II 1896 r. reprezentował mikada w Moskwie.

Towarzyszący mu generał, Kwandżiro Niszi, przy wybuchu wojny z Rosyą służył pod gen. Kurokim, później dowodził armią okupacyjną na półwyspie Liaotung, wreszcie po wojnie został generalnym inspektorem naukowych zakładów wojskowych i przewodniczącym wojskowo-technicznego komitetu. Za waleczność, okazaną podczas wojny z Chinami, otrzymał on od mikada tytuł barona.

Drugą z wybitnych osób orszaku księcia jest admirał baron Gombei Jamamoto, który jako dziewiętnastoletni młodzieniec rozpoczął w 1871 roku służbę w marynarce, zostawszy uczniem szkoły mary-



Goście japońscy w Europie: Ks. Fuszima, kuzyn Mikada.

narskiej. W praktycznej służbie ćwiczył się na niemieckim statku „Vineta“. Awansował szybko, bo już w r. 1895 otrzymał rangę kontradmirała, a w trzy lata później zamianował go mikado wiceadmirałem i ministrem marynarki. Odznaczył się on przy stłumieniu powstania bokserów w Chinach w 1900 r., a przyczynił się wiele do zawarcia sojuszu angielsko-japońskiego.

Na początku wojny z Rosyą awansował na admirała, lecz po jej ukończeniu zrzekł się dobrowolnie teki ministra.



Zmiana w dowództwie krakowskiego korpusu: Marszałek polny porucznik Steinsberg, nowy dowódzca I. korpusu.

Fot. I. Seebald, Kraków.

Tajemnicze zabójstwo.

(Do illustracyi na stronie 16).

Przy ulicy Sosnowej, koło Wielkiej w Warszawie, zajmował w domu pod l. 11, od dłuższego czasu mieszkanie Michał Jurasow, nauczyciel instytutu agronomicznego.

W tych dniach rozegrał się w tem mieszkaniu zagadkowy dramat. Wieczorem o siódmej przyszedł do Jurasowa jakiś młody człowiek, krótko ze sobą rozmawiali, poczem nieznajomy opuścił pokój nauczyciela i wyszedł do przedpokoju. Stąd nagle strzelił pięć razy z rowolweru do Jurasowa stojącego w drzwiach, który padł trupem na miejscu.

Tymczasem zabójca zdołał zbiedz, zanim zaalarmowani mieszkańcy domu dali znać władzom o wypadku. Przybyła policya celem spisania protokołu, poczem zwłoki przewieziono do zakładu medycyny sądowej, gdzie je sfotografowano. Załączamy tu zdjęcie pośmiertne ofiary tajemniczego morderstwa.



Goście japońscy w Europie: Admirał br. Gombei Jamamoto.



Goście japońscy w Europie: Generał broni Kwandżiro Niszi.

Kronika tygodniowa.

Drukarze galicyjscy zacierają ręce z radości. Zaczyna się utrwalać mniemanie, że ich to tajnych zabiegów dziełem jest ustawa o powszechnem głosowaniu. Nikt bowiem nie wyciągnie z niej takich jak oni korzyści. Pomijając tysiące plakatów, zwołujące już dziś zgromadzenia i setki tysięcy plakatów, które w uroczym miesiącu maju będą głosiły tak cnoty i zasługi kandydatów, jak i konieczność zbawienia ojczyzny na kilkanaście odmiennych i wręcz przeciwnych sobie sposobów, pomijając tomowe spisy wyborców, miliony zaproszeń i miliardy odezw — co wszystko naturalnie przyczynia się do zbogacenia oficyn drukarskich — powstają jeszcze jak grzyby po deszczu, nowe pisma, reprezentujące tak stare, jak i świeżo-narodowe zasady i zasadki, kierunki i kieruneczki. Dość powiedzieć, że każdy prawie kandydat żydowski posiada własny tygodnik, na czas wyborów założony.

Najzabawniejszem w tej hiperprodukcyi „głosów opinii“ jest to, że naczelnicy obu dominujących na pozór stronnictw w Krakowie pozostali nagle bez własnych organów, a raczej posiadają na spółkę połowę jednego organu. Stało się to wskutek owego związku ślubnego, zawartego między sztabem demokracyi a sztabem konserwatyzmu, o którym to związku wspominałem przy końcu zeszłotygodniowej kroniki. Tak oblubieniec, jak oblubienica, wstępując na kobierzec ślubny, zapomnieli prosić o pozwolenie swych mandataryuszy — sztaby połączyły się, ale armie nie zeszły dotychczas ze swych stanowisk. Co więcej, organ konserwatywny wymówił posłuszeństwo byłemu swemu sztabowi, który musi swe odezwy, enuncyacye i przekonania reprodukować w organie urzędowym skoncentrowanej demokracyi.

Ale i ten organ jest w niemałym kłopocie: chciałby dochować wierności dawnym przyjaciołom, przeciwnikom solidarności Koła polskiego, to jest ludowcom i postępowym demokratom, tak polskim, jak żydowskim, a z drugiej strony nie może obrócić się tyłem do nowych oblubieńców, uznających solidarność Koła za „conditio sine qua non“. Stało się jednem słowem u nas to, co jako anegdotkę podawały niedawno wszystkie nasze dzienniki, bo nie było chyba pisma, któreby nie doniosło, że w Bawaryi czy też w Szwajcaryi, bo dobrze nie pamiętam, wychodzi w jakiemś małem miasteczku dziennniczek, którego pierwsza połowa jest organem stronnictwa liberalnego, a druga połowa służy stronnictwu konserwatywnemu.

Takie to polityka wyprawia dziwy. Nieprawdopodobieństwa stają się rzeczywistością. Niedawno np. cieszyliśmy się, że w tak zwanych „krajach zabranych“ powstało polskie dziennikarstwo. Czyby kto był przypuszczał, że wśród tego dziennikarstwa pojawi się organ, któryby urągał patryotyzmowi i narodowi? A jednak taki istnieje. „Kresy“ kijowskie podają ustępy z wychodzącego w Kijowie tygodnika pod tyt. „Świt“, na dowód, że drukują się takie brednie, iż „najdrobniejsza zdoła wywołać rumieniec wstydu nawet na obliczu notorycznego waryata“. Oto kilka zdań z VI-go n-ru „Świtu“: „Kochać naród, to jest snuć jak pająk z siebie przędzę nienawiści“; — „Gdy kto powie słowo: Polak, to rzeknie: odwróć się prędko i zasłoń twarz, bo słowo to jak policzek piec cię będzie“; „Polskość stała się hańbą i przekleństwem...“

Prawda: jakie to piękne, rozumne i uczciwe? Czytając takie ludzkie głosy, wynikłe z walki stronnictw, mimowoli czuje się zwiększoną sympatyę do świata zwierzęcego.

A ciekawe nowiny z tego świata przynosi prof. Johnson, Amerykanin, który od kilku lat studyuje... mowę małp.

Przed trzema, czterema laty obiegły całą prasę wieści o tych studyach prof. Johnsona. Pisano, że wybudował sobie małpiarnię, małpią menażeryę, w Groobzel i bada język małpi. Ale ucichły dalsze wieści o studyach prof. Johnsona i dopiero teraz podaje prasa dalsze szczegóły jego naukowej pracy. Początkowo rezultaty były małe, gdyż małpy okazały się bardzo powściągliwe w języku wobec swojego niespodziewanego przyjaciela: musiał je podsłuchiwać, co nie przynosiło wiele korzyści. W ostatnich czasach jednak udało się Johnsonowi wzbudzić dla siebie zaufanie. Pewien sędziwy goryl opowiadał mu, co słyszał z ust ojców. Otóż ustna tradycya małpia dowodzi, że ongi światem rządziły małpy, posiadające wysoką kulturę. Dopiero z czasem, skutkiem degenerowania, zostały wyparte przez człowieka, który był niższym od nich gatunkiem zwierząt. Ale koło szczęścia zawsze się toczy — nadejdzie czas, kiedy ludzi z panowania światem wyprą nowe, wyższe istoty, a człowiek spadnie na stanowisko małpy. Te nowe istoty będą zamykały ludzi w menażeryach, będą ich wodziły na łańcuszkach i pokazywały jako śmieszną osobliwość. Dowiedział się również prof. Johnson, że i u małp był rodzaj wieży Babel, bo im się pomieszały języki i podzieliły na narody. Narody te staczają między sobą walki, mają swój handel wymienny, swoje szkoły, swoje armie, a nawet stronnictwa polityczne. Pomiędzy temi ostatniemi grają główne role: partya załatwiająca swe czynności lewą ręką i partya prawej odręczy. Stronnictwo „lewych“ jest słabsze, to też często „prawica“ daje mu się srodze we znaki. Obecnie prof. Johnson pisze gramatykę języka małpiego i zamierza założyć akademię dla szerzenia między ludźmi małpich „umiejętności...“

Naturalnie całe to opowiadanie jest żartem osnutym na tle satyrycznem.

Nie żartem, ale bolesną prawdą jest, że magistrat krakowski uczynił zamach na „treny“ damskich sukien, zabraniając „ogonom“ zamiatać śmiecie z ulic i plantacyj i że pani Gabryela Reuter, głośna powieściopisarka niemiecka, stanęła w obronie... mężczyzn.

Pierwsza z tych niesprawiedliwości jest tak jasna, że nie potrzeba nad nią się zastanawiać — ale natomiast druga wymaga bliższego omówienia.

Pani Reuter napisała książkę pod tyt.: „Zagadnienia małżeństwa“. Pragnąc być bezstronną twierdzi, że obie strony walczące, to jest ta, która potępia dzisiejsze małżeństwo, jak i ta, która zachwyca się tą instytucyą, wpadają w przesadę. Małżeństwo wymaga reformy, ale powolnej — potrzebuje ewolucyi a nie rewolucyi. Kwestya małżeńska dlatego wywołuje dziś tak głośne spory, ponieważ w ostatnich czasach pogłębiły się antagonizmy między kobietą i mężczyzną. Wobec nich niejeden mężczyzna nie ma ochoty iść do tego „piekła, jakiem jest małżeństwo. Kobiety nie chcą zrozumieć, że przy obecnych warunkach małżeństwo nie daje tych wygód, tego „dobra“ dla mężczyzny, jakie dawniej przynosiło. Może on się bez niego „obejść“, bo kawalerstwo mniej kosztuje, bo walka o byt dla rodziny prowadzi często do klęski. Wobec tego, że kobiety są dziś mniej, jako żony pożądane, dziwną i nierozsądną z ich strony rzeczą jest stawianie coraz większych wymagań. Cierpliwości mężczyzn nadużywają zwłaszcza te damy, które starają się o troskliwe przestrzeganie nienaruszalności swego „indywidualizmu“. Kobieta z małym talencikiem literackim lub artystycznym czuje się upoważnioną nadawać ton w małżeństwie — ona jest pierwszą w niej osobą, mąż powinien być szczęśliwy, że oddycha tem, co ona powietrzem, że spełnia jej rozkazy.

Co prawda, następują później uwagi dość niemiłe dla mężczyzn, ale jako członek tej „korporacyi“ wolę pominąć je milczeniem. Koniec końców autorka występuje silnie przeciw zasadzie „zupełnej wolności“ w małżeństwie. Chce poszanowania indywidualności z obu stron, ale także pragnie, aby ta indywidualność miała też i swoje granice.

Wszystko to jest bardzo ładnie, ale przyznacie Czytelniczki, że ożenienie się nazywać „pójściem do piekła“, jest to zbrodnia popełniona przez kobietę na kobietach. Wszak każda z was jest „majem, rajem i wiosną“.

Naturalnie nie taką wiosną jak obecna, bo jest to istna parodya wiosny. Ludziska chodzą w futrach, palą w piecach — telegramy donoszą o śniegach spadłych w Saksonii, na Śląsku pruskim. Gorąco jest tylko w Berlinie, ale nie wskutek temperatury, lecz z powodu wycieczki „wuja“ Edwarda do Kartageny i Gaёty. „Wuj“ ten ma dziwną przyjemność niepokojenia swego siostrzeńca. Mówią, że jestto wielki arachnolog (pająkarz), który siecią układów dyplomatycznych pragnie otoczyć „cesarza teatralnego“.

Nową tę nazwę wymyślił p. Henri de Roussane, który przed pół rokiem jako współpracownik „L'Echo de Paris“, bawił we Wielkopolsce dla zaznajomienia się ze strajkiem szkolnym dzieci polskich. Otóż ten pan de Roussane w dniu 16 kwietnia na meetingu zwołanym w Paryżu dla tej sprawy przez ligę patryotów francuskich („Ligue des patriotes français“) opowiadał o swojej podróży, nawołując przytem Francuzów do walki ekonomicznej z Niemcami, do nieumieszczania kapitałów francuskich na rynkach niemieckich, co musi wpłynąć na szybszy upadek „przereklamowanego olbrzyma“, tego „mocarstwa-komedyi“ z cesarzem „teatralnym“ na czele. Po p. Roussane przemawiali: p. Hubert, przyjaciel i towarzysz wygnania Derouléda, prezesa Ligi; radca miejski p. Galli itd. Pan Hubert wypowiedział nadzieję, że Słowianie przyjdą do porozumienia i z Polakami na czele staną w pierwszym szeregu ludów wolnych, idących do walki z ludami prześladującemi. W końcu 2.000 słuchaczy uchwaliło rezolucyę, wyrażającą „dzielnemu narodowi prowincyi poznańskiej swój zachwyt dla odważnej obrony, jaką przeciwstawia swemu ciemięzcy“.

Rezolucya taka nie wiele nam, co prawda, pomoże, ale bądź co bądź nic nie szkodzi, że kilka tysięcy Francuzów choć w ten sposób otrzyma jakie takie pojęcie o tem, co się dzieje w „państwie miłości bożej i dobrych obyczajów“. Dobrze i to, że Francuzi choć trochę zajmują się kwestyą polską wogóle i dowiadują się o naszem istnieniu skądinąd, niż z paszkwilów p. Björnstjerne-Björnsona.

Że taki pan nie zna naszej historyi i plecie o niej niestworzone baśnie, to łatwiej zresztą wytłomaczyć (nie wybaczyć) wobec faktu, że najbliżsi nasi przyjaciele okazują równie dobrą znajomość wiedzy historycznej. Przed tygodniem słynny Puryszkiewicz rozwodził się w Dumie o rządach Wielopolskiego i Czartoryskiego(?) w r. 1863 i żyjącemu Jerzemu Milutynowi przypisywał owe słynne „reformy kraj uspakajające“, które przeprowadził zmarły przed laty Mikołaj Milutyn. Lepszą jeszcze znajomość historyi naszej wykazał inspektor szkół ludowych w Królestwie, który w okólniku do dyrektorów pozwolił wspominać uczniom o Kazimierzu Wielkim i Bolesławie... Jagielle.

Ponieważ „kronika tygodniowa“ powinna mówić o wszystkiem, więc pozwolę sobie zakończyć ją trzema oderwanemi wiadomościami z dziedziny matematyki, literatury i dziennikarstwa.

A więc naprzód matematyka. Wyszła niedawno ciekawa książka dra H. Schuberta pod tyt.: „Teorye matematyczne“. Są w niej ciekawe przykłady, do jak olbrzymich liczb można dojść w świetle najpowszechniejszych zjawisk. Czy przypuszczasz np. szanowny preferansisto, w ilu kombinacyach możesz rozdać 32 karty? Sądzisz zapewne, że takich kombinacyi jest zapewne 1000, a może 2000. Gdzie tam! obliczenie wykazuje, że takich kombinacyj jest 2.753 biliony, 264.408 milionów 504.640. Gdyby więc — pisze dr. Schubert — cała ludność dniem i nocą grała w karty, to licząc na każdą kombinacyę pięć minut, trzebaby 52 — 53 lat, aby cała serya kombinacyj preferansowych została wyczerpaną.

Z dziedziny literatury zawiadamiam, że się zanosi na wielką burzę. Hrabia Stanisław Tarnowski ogłosił w „Przeglądzie Polskim“ ustęp z ostatnich rozdziałów szóstego tomu swej historyi literatury. Ustęp ten jest poświęcony dzisiejszym gwiazdom naszej poezyi. Blask tych gwiazd krytyk niesłychanie umniejsza. Charakterystyka np. twórczości Wyspiańskiego jest tak surowa, że wielbiciele poety długo nie będą mogli ochłonąć z przerażenia. A ochłonąwszy rzucą się do papierowego oręża. Strach, jaka będzie kanonada.

Co do dziennikarstwa zaznaczyć muszę, że dziennikarstwo ruskie (rusińskie) zdobyło rekord w dostarczaniu interesujących wiadomości. W 16 n-rze „Swobody“, organu urzędowego „Narodnego komitetu“, znajdujemy w kronice wiadomość, że we wsi Towstenkie (pow. husiatyński) nauczyciel tamtejszy Mendefik „chodzi na noc do cudzych żon, np. do Julki Ornatowskiej i do Tekli Chichłowskiej“. Przyznacie chyba, że żadne dziennikarstwo na świecie nie otacza taką moralną opieką powierzonej sobie trzódki.





Björnson oszczercą Polaków: Ostatnie zdjęcie literata szwedzkiego Björnsona Björnstjerne, który napadł na Polaków.



Björnson oszczercą Polaków: Mistrz J. I. Paderewski, który w liście otwartym dał odpowiedź Björnsonowi.

Z pod szubienicy na wolność.

Zaiste rzadki wypadek, illustrujemy w niniejszym numerze, a zwłaszcza niezwykły w obecnych stosunkach chaotycznych pod panowaniem rosyjskiem. Dajemy fotografie pięciu ludzi, którzy mieli zginąć na szubienicy — a niespodziewanie zostali obdarowani wolnością. Oto szczegóły sensacyjnej sprawy sądowej.

W lutym przez wieś Górka Pabianicka przechodził o 11-ej wieczorem patrol wojskowy ze strażnikiem ziemskim, a usłyszawszy w domu Gabrelskiego przez oświetlone okna mieszkania Gleizera głośną rozmowę, wkroczył do wnętrza domu, pewny, że natrafia na kłótnię. Patrol zastał tam Franc. Bednarskiego, Wawrzyńca Piotrowskiego i Józefa Chojnackiego. Przy rewizyi znaleziono sprężynową nahajkę przy Piotrowskim, siekacz kuchenny przy Chojnackim, a w miejscu gdzie stał Bednarski, leżał na podłodze nóż kuchenny. Właściciel mieszkania Józef Gleizer, znajdujący się już w samej bieliźnie, oznajmił strażnikowi, że owi ludzie nieznajomi mu zupełnie, wyłamawszy drzwi, wpadli do domu jego przemocą i grożąc mu wspomnianemi narzędziami, żądali pieniędzy. Patrol aresztował tych ludzi, policmajster miasta Pabianic przeprowadził śledztwo, poczem wszystkich trzech oddano pod sąd wojennopolowy, który skazał ich na śmierć przez rozstrzelanie.

W charakterze tłomacza obecnym był na rozprawie naczelnik wydziału śledczego z Łodzi, pan Nikołajew, w którym zeznania świadków i obwinionych wzbudziły powątpiewanie co do słuszności oskarżenia. Udał się tedy o 4-tej rano do więzienia łódzkiego do celi, w której skazani na śmierć byli zamknięci. Postanowił ich osobiście wybadać. Wszyscy trzej zapewniając go o swej niewinności, prosili o wezwanie księdza do spowiedzi. Na podstawie zebranych danych p. Nikołajew nabrał przeświadczenia o ich niewinności i użył wszelkich możliwych środków, by ocalić ich od śmierci. Po złożeniu raportu na piśmie czasowemu generał-gubernatorowi piotrkowskiej gubernii, uzyskał wstrzymanie wykonania wyroku sądu polowego. Wraz z jednym z członków sądu wojennego udał się p. Nikołajew na miejsce zajścia dla przeprowadzenia dodatkowego śledztwa drobiazgowego, gdzie też stwierdził, że w danym wypadku nie było chęci napadu zbrojnego w celach grabieży i mordu, tylko gospodarz domu Gleizer chcąc pozbyć się nocnych gości, a nie przewidując tak niebezpiecznych następstw, oskarżył fałszywie przybyłych przed strażnikiem.

Gdyby tedy nie chwalebny postępek p. Nikołajewa, byliby trzej młodzi ludzie poszli niewinnie na śmierć w czasach sądów polowych. A dodać tu trzeba, że Nikołajew już po raz drugi uwolnił w ten sposób niewinnych z pod szubienicy. Pół roku temu również tylko jemu zawdzięczali podobne ocalenie dwaj przypadkiem aresztowani i przed sąd polowy stawieni, a następie na śmierć skazani młodzieńcy, Leon Skowronek i Wojciech Kociołek.



Fot. St. Bogacki, Warszawa.

Björnson oszczercą Polaków: Poseł do dumy Grabski (z żoną), który zaskarżył Björnsona przed sąd. (Do art. na stronie 10).



Z pod szubienicy na wolność: Robotnicy z pod Łodzi, na śmierć przez sąd polowy skazani, a po wykazaniu ich niewinności przez p. Nikołajewa, uwolnieni: 1. Chojnacki, 2. Kociołek, 3. Skowroński, 4. Piotrowski, 5. Bednarski.

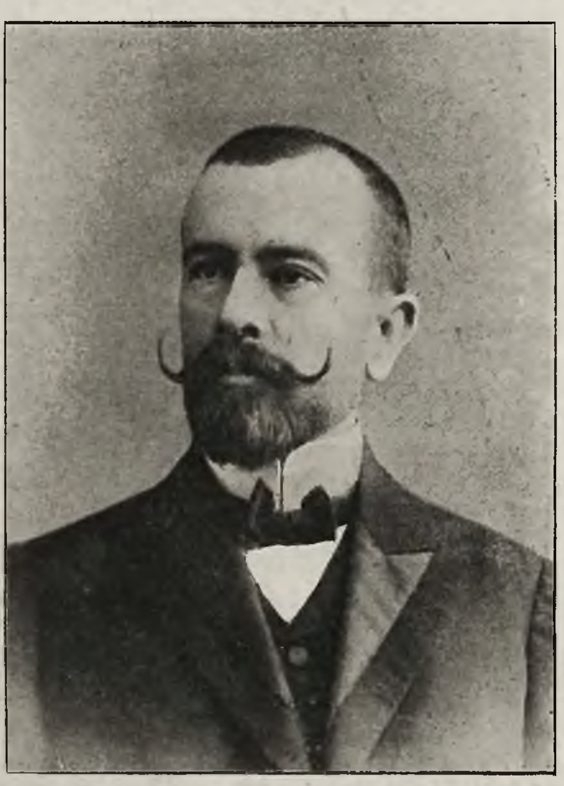
Duma w niebezpieczeństwie.

W pałacu Taurydzkim już przeszło dwa miesiące obraduje parlament rosyjski, po raz drugi zwołany, ale dotąd niema praktycznych wyników jego obrad. Grzmią piorunujące mowy z mównicy poselskiej, odpowiadają im mniej lub więcej szczęśliwe repliki ministrów i na tem koniec.

Stan wyjątkowy z sądami polowymi trwa dalej, niepokój w całej Rosyi nie ustaje, kredyt państwa za granicą słabnie, a jego obywatele dopiero wtedy oddychają swobodnie, gdy znajdą się poza słupami granicznemi Eydkunnów, Aleksandrowa, Szczakowy lub Podwołoczysk.

W tem stadyum rzeczy, które nas Polaków, bez względu pod jakim zaborem żyjemy, dotyczy bardzo mocno — nic dziwnego, że oglądamy się za ewentualnymi sprzymierzeńcami nawet tam, gdzie trudno ich znaleźć. O ile w pierwszej Dumie tak zw. „kadeci“ okazywali dla nas pewne sympatye,

o tyle teraz to ongi dla nas sympatyczne stronnictwo okazuje się wrogiem dla wszelkich usiłowań Polaków, zdążających do osiągnięcia autonomii. Z innych powodów również polskim dążeniom autonomicznym są przeciwni socyalistyczni posłowie wszelkich odcieni.



Z pod szubienicy na wolność Były naczelnik łódzkiej policyi śledczej, asesor kolegialny Nikołajew, który uwolnił 5 ludzi niewinnych od wyroku śmierci.

Ponieważ jednak groźba rozwiązania Dumy wisi nad nią, jak miecz Damoklesa — przeto możemy się spodziewać, że zarówno przyjaciele w jej gronie, jak i nieprzyjaciele ani nam pomocą, ani zaszkodzą.

Wytrzymaliśmy już tyle pod panowaniem rosyjskiem, że i resztę niezawodnie wytrzymać zdołamy — tylko potrzeba wiary w przyszłość dobrej sprawy i cierpliwości.

W dzisiejszym numerze podajemy w dalszym ciągu zdjęcia z dwóch grup poselskich, które najwięcej dostarczają mówców — naturalnie oprócz prawicy — podczas obrad tej Dumy, której dni są policzone.

Podróże króla angielskiego.

Edward VII korzysta z wakacyj, jakie sobie wyznaczył i podróżuje po morzu Śródziemnem, a równocześnie załatwia interesy polityczne. Naprzód odwiedził swego siostrzeńca Alfonsa XIII w Kartagenie, następnie zaś spotkał się z Wiktorem Emanuelem w Gaecie.

Odwiedziny te, zarówno jak zamianowanie ks. Connaught, brata królewskiego głównodowodzącym sił angielskich na Śródziemnem morzu z siedzibą w Gibraltarze, poruszyły w wysokim stopniu dyplomacyę i prasę niemiecką. W Berlinie odezwały się tak ostre głosy, jak gdyby stał już „Hannibal ante portas“, tj. jak gdyby dziś jutro flota angielska miała wyruszyć na blokowanie wybrzeży niemieckich. To zdenerwowanie prasy niemieckiej udzieliło się poniekąd także dziennikom wiedeńskim, utrzymującym czucie ze sferami rządzącemi. I nad Sprewą i nad Dunajem stwierdzono w kołach miarodajnych, że władca Anglii nosi się z niedobremi myślami stworzenia ligi, któraby stanowiła przeciwwagę trójprzymierza, a do której należałyby także i Włochy. Stąd powstał cały alarm podsycany z drugiej strony odwiedzinami Wiktora Emanuela w Atenach.

Krótko mówiąc, Niemcy, którzy za pomocą tego trójprzymierza teroryzowali przez szereg lat Europę, nie mogą się pogodzić z myślą, że znalazł się ktoś, co może im stanąć na drodze.

Rycina, jaką podajemy w dzisiejszym numerze „Now. Illustr.“, przedstawia chwilę, gdy monarchowie Wielkiej Brytanii i Hiszpanii żegnają się po spotkaniu w Kartagenie, które nosiło nader serdeczny charakter a z pewnością miało także i donioSłe znaczenie polityczne.

Ze Lwowa do Bośni.

Na półwyspie Bałkańskim zanosi się podobno na poważne międzynarodowe zawikłania. Chodzi niewątpliwie o „chorego człowieka“, o Turcyę. Austrya, jako bezpośrednia sąsiadka, jest w tej sprawie bardzo żywo interesowaną, dąży tedy do wzmocnienia swych załóg na pograniczu tureckiem.

W tym celu wysłano w te dalekie strony także ze Lwowa jeden batalion, a to z 80 p. p. Batalion ten w sile 513 ludzi udał się tam pod komendą majora Piaseckiego.

Wysyłka lwowskiego batalionu nastąpiła w poniedziałek tego tygodnia w sposób uroczysty. Na dworcu kolejowym (bocznym) zjawił się komendant korpusu hr. Auersperg z generalicyą i przemówił parę słów do żołnierzy. Następnie wpakowano żołnierzy do prymitywnych wagonów ciężarowych, oficerowie zaś zajęli 3 wozy II-ej klasy. Podczas tej czynności przygrywała muzyka wojskowa różne utwory.

Batalion przybędzie na miejsce dopiero dn. 28 kwietnia. Na razie rozmieszczony będzie batalion, zanim nie nadejdą nowe dyspozycye — w trzech miejscowościach, a mianowicie: 13 kompania bę-



Tajemnicze zabójstwo: Michał Jurasow, agronom, zabity w Warszawie we własnem mieszkaniu. (Do artykułu na stronie 13).



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Duma w niebezpieczeństwie: Posłowie, należący do stronnictwa »kadetów« — Selinow, Gorew, Pugowisznikow, Juraczewskij, Karklin, Burkiewicz, Ruszników, Bakumin, Gerosimow, Junickij, Popow, Jureszew, Jordanskij, Baulin, Łaniew, Kirjanow, Leonas, Hessen, Karatajew, Potaszew, Stachowicz, Nikitin, Gałunow, Wołockij, Fiedorow, Ikonnikow, Saweljew. Kissewetter, Norokoniew Teslenko, Szingarew, ks. Dołgorukow, Bogusławskij, Rubanow, Smienow, Szapiw, Szagin, Sataskin.

dzie ulokowaną w Dervent, 14 w Doboj, a 15 i 16 w Dolnej Tużli. W całej podróży, która ma trwać 5 dni, zatrzyma się ekspedycya na jeden dzień w Budapeszcie a później w Bosnabrod. Siedziba komendy batalionu będzie w Dolnej Tużli.

Uroczystości pożegnania odjeżdżającego na Wschód batalionu towarzyszyło prócz wojskowych wielu mieszkańców Lwowa, połączonych z opuszczającymi Lwów żołnierzami węzłami pokrewieństwa, przyjaźni lub znajomości. Pożegnanie było serdeczne i rzewne, każdemu bowiem nasuwała się myśl, czy też wszyscy odjeżdżający wrócą do kraju zdrowo i cało.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy illustracyę przedstawiającą chwilę, gdy batalion 80 p. p. zajmuje miejsca w przygotowanych na dworcu lwowskim wagonach.

Muzyka w Krakowie.

Sezon koncertowy krakowski, zakończyły dwie produkcye, urządzone staraniem Towarzystwa Muzycznego, które nie cofając się przed trudnościami natury finansowej i widmem ewentualnego deficytu, przedstawiło na swych ostatnich dwu koncertach, jedną z najwybitniejszych orkiestr europejskich, monachijską orkiestrę symfoniczną Kaima, o której obszerną informacyę podaliśmy w poprzednim numerze „Now. Illustr.“ Publiczność, pospieszyła tłumnie do sali starego teatru, która tym razem okazała się za małą i nie dość akustyczną dla produkcyj zespołu rozporządzającego większą liczbą muzyków i doskonałymi instrumentami. Charakteryzować rodzaj dźwięku tej orkiestry, wspominać o tem, że zasiadają w niej artyści zgrani i czujący się wzajemnie tworząc jedną istotę, uważam za zbyteczne, orkiestra bowiem daje słuchaczowi taką masę piękna muzycznego, wprowadzając go w nieznaną krainę czarów najcudniejszej ze sztuk, że wszelkie myśli o częściach składowych tego zespołu tworzącego jako całość jednego subtelnością aksamitnego pianissima, jak niemniej zachwycając jędrnością mezzaforte, jak również wstrząsając potęgą fortissima. Nad środkami materyalnemi zespołu panuje doskonały dyrygent Jerzy Schnéevoigt, artysta wielki, muzyk niepospolity, wczuwający się z subtelnością wrażliwej duszy poety w reprodukowane utwory, nabicrające w jego interpretacyi mocy blasku, szczerości i wdzięku. Temi zaletami błyszczało wykonanie wspaniałej Symfonii patetycznej Czaykowskiego, w której, acz pierwiastków słowiańskich nie zdołał od- gigantycznego artystę, znikają wobec przejawów czystej sztuki, które artysta ów hojnie roztacza, i wprowadza słuchacza w nieznane mu bliżej, choć przecudne może światy. Orkiestra przemawia do słuchacza wszelkimi sposobami na jakie stać współczesną technikę tego rodzaju, czarując zarówno



Podróże monarchy angielskiego: Król Edward VII opuszcza hiszpański jacht królewski »Girelda«, gdzie wraz z żoną odwiedził Alfonsa XIII. i jego matkę królową Krystynę.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Duma w niebezpieczeństwie: Grupa posłów socyalistycznych — Peszechonow, Okułow, Armenskij, Szczerbina, Wołk-Karczewskij, Ałaczejew, Hasanow, Malejew, Baskin. Kisielew, Bugoras. Titow, Sejpełow, Miakotin, Kołokolnikow, Demianow, Lisin, Petersohn, Markow, Woskresenskij, Delianow, Skałozubow, Woroszeikin.

słonić w całej marzycielskiej piękności, dał dowody dużego temperamentu i przejęcia się nowszą muzyką. Tymi też zaletami zadziwiał w stylowo odegranym dziele Beethowena (Symfonia c-mol). — Wagnera w interpretacyi Schnéevoigta poznaliśmy



Muzyka w Krakowie: Śpiewaczka Jadwiga Dębicka.

jako rzeczy nowe i nieznane... Najbardziej zaś zajął przepysznem odtworzeniem wspaniałego dzieła Ryszarda Straussa „Śmierć i wyzwolenie“.

Oba koncerty były prawdziwą biesiadą, zarówno dla publiczności jak i melomanów, a przedewszystkiem dla szczupłego grona tych muzyków krakowskich, którym stosunki nie pozwalają na wędrówki artystyczne i słuchanie za granicą, rzeczy dobrych i doskonałych.

* * *

Nie podobna pominąć milczeniem produkcyi dwojga młodych, wchodzących w świat artystów, którzy stanęli ubiegłego tygodnia na estradzie starego teatru. Byli to pp. Jadwiga Dębicka, młodociana śpiewaczka ze Lwowa, tudzież p. Zygmunt Schwarzenstein skrzypek, który wykształcony przez prof. Hanickiego, w jego szkole muzycznej w Kamieńcu Podolskim, wystąpił najpierw we Lwowie, gdzie go zarówno sfery muzyczne miejscowe, jak i prasa, tudzież krytyka, powitały życzliwie, nie szczędząc słów zachęty do pracy nad szczerym talentem i uznając już nabytą technikę tudzież sprawność artystyczną. Obojgu utalentowanych artystów podobizny podajemy w dzisiejszym numerze pisma. P. Dębicka ma wszelkie warunki na dobrą śpiewaczkę i przyszłą artystkę. Oprócz prześlicznej urody, okraszonej wiośnianym wdziękiem, uroczej postaci, posiada prawdziwie piękny głos o ujmującym timbrze, wybitną muzykalność, zapał i szczere zamiłowanie. Z kilku pieśni, które zaśpiewała z wdziękiem i prostotą, biła świeżość intuicyjnego pojmowania zarówno muzycznej, jak i tekstowej strony utworu. P. Schwarzenztein zaś ujął przedewszystkiem czystością tonu, pięknego, zdrowego, pewnego i dźwięcznego, zwracającego uwagę przedewszystkiem tem, iż wydobytego z nie nadzwyczajnej jakości instrumentu. Techniką wielką nie rozporządza jeszcze młody skrzypek, lecz w technice tej, bardzo poprawnej i racyonalnie ustawionej, tkwi zadatek na rzeczy wielkie, na artystę-technika pierwszej gildy. To, co grał p. Schwarzenstein, a grał rzeczy piękne tudzież poważne, i jak grał, nosiło cechę szczerego talentu, wielkiej muzykalności, a nadto iście muzykalnej na wskroś intuicyi. Witając życzliwie młodą parę artystów, którym towarzyszyła w charakterze akompaniatorki utalentowana pianistka p. Przyszychowska, życzę im szczerze powodzenia w dalszej karyerze artystycznej. *— urs. —*



Muzyka w Krakowie: Skrzypek Zygmunt Schwarzenstein.

Z lwowskiego bruku.

»Wesoła wdówka« podbiła Lwów. — Schuppcia i Miłosia w zgodzie dublujące. — Wybory i kandydaci na wzór kur mających znieść jajo, czyli wędrówka z jajkiem. — Mania kandydowania a okólnik magistratu w sprawie wścieklizny. — Teatr a gwiazdy. — Słówko o zapomnianej artystce. — P. Herman przerabia artystów na tynglarzy.

Cały Lwów teraz śpiewa, nuci, gra, gwizda i tańczy „Wesołą Wdówkę“. Ludzie wszyscy poprostu powaryowali na tym punkcie, chodzą co wieczór do teatru po pięć razy z rzędu i więcej, a po przedstawieniu nie chcą wyjść dobrowolnie i tak długo walą brawo, wrzeszczą i tupią nogami na „bis“, aż ich trzeba przemocą wyprowadzać ze sali, pogasiwszy przedtem światła. Zwłaszcza nasze kobiety idą w swoim zachwycie dla owej operetki tak daleko, że niektóre z nich wyobrażają sobie, że są wesołemi wdówkami, całemi dniami śpiewają, bębnią na fortepianie, tańczą z krzesłami, ciotkami, kucharkami, lokajami i dziećmi, marzą o czarnogórskim księciu, który dopiero co wrócił od Maksyma, o pawilonie, o milionach i o innych rzeczach, a całkiem zapominają o swoich mężach, dzieciach, gospodarstwach, długach i o drożyźnie mięsa.

Wystawiają u nas tę rzecz bardzo dobrze, a niektórzy nawet, co widzieli „Wdówkę“ we Wiedniu, przyznają naszej scenie pierwszeństwo, przynajmniej pod względem dekoracyjnym. Tytułową rolę śpiewają naprzemian panie Miłowska i Schupp, obie piękne, obie dobre śpiewaczki, obie z olbrzymiem powodzeniem, a mimo to nie wydrapała jeszcze jedna drugiej oczu... I to może najlepiej świadczy o wielkiem szczęściu, jakiem się cieszy „Wesoła Wdówka“ nietylko na całym świecie, ale i we Lwowie.

* * *

Obok tego zajmujemy się także wyborami i co wieczór, kładąc się spać, staramy się odgadnąć, jacy nowi kandydaci zgłoszą się jutro po mandat poselski. I rzeczywiście nazajutrz mamy już nowych co raz lepszych. Inni znowu kandydaci, czując słabe szanse w jednym okręgu, przenoszą się do drugiego, trzeciego, lub do innego miasta.

Są między nimi tacy, którzy już byli w czterech okręgach i objechali kilkanaście miast a teraz rozglądają się dalej za innym okręgiem, któryby padł w ich objęcia i złożył swoje losy w ich łapczywe ręce. Jak kura, która się namyśla, gdzie ma złożyć swoje jajko i gdakając przeskakuje z miejsca na miejsce, tak niejeden kandydat obnosi swoje jajko mandatowe po całej Galicyi i gdakając w swoich leib-organach bibułowych, nie wie, gdzie je ma złożyć i kogo niem ma uszczęśliwić...

Pomagają mu w tem rozmaitego gatunku hyeny wyborcze, które pracują już teraz w pocie t. zw. czoła, pomimo powszechności wyborów, gdyż zaczyna się dla nich obfite żniwo nietyle z powodu powszechnego głosowania, ile z powodu powszechnego kandydowania.

W sprawie tej manii kandydowania powinien magistrat lub inna władza rozlepić jakieś obwieszczenia, przestrzegające przed zgubnymi skutkami tej manii, na wzór obwieszczenia w sprawie wścieklizny psów. Wywołało to niesłychane oburzenie u wszystkich właścicieli psów, zwłaszcza ten ustęp, gdzie magistrat nakazuje nietylko nałożenie psu kagańca, z przodu i z tyłu, ale ponadto żąda, „aby go prowadzono na linewce — koniecznie, gdyż w razie przeciwnym „pies będzie złapanym i zabitym bezzwłocznie“, jak się okólnik wyraża.

To psie obwieszczenie wywołało nawet u psów zrozumiałe oburzenie, czego wyrazem są liczne pokąsania z dni ostatnich i przedostatnich.

Natomiast nie zdarzył się ani jeden wypadek pokąsania z powodu narad nad wyborem prezydenta miasta, który ma się odbyć dziś. Będzie nim prawdopodobnie p. Ciuchciński, bo i ładnie się nazywa i jest blacharzem z zawodu i należy — to najważniejsze — do Strzelnicy. O tem zresztą pomówię w najbliższym liście, jeżeli nie padnę na jednem ze zgromadzeń wyborczych w obronie ojczyzny.

* * *

Dziś jeszcze chciałem Wam donieść, że w teatrze naszym rozpoczyna się wkrótce sezon makaroniarzy włoskich z występami znakomitych gwiazd. Co prawda mamy jeszcze we Lwowie stale tu zamieszkałe śpiewaczki operowe o pierwszorzędnych zaletach śpiewaczych i scenicznych, a jednak ani dotąd, ani teraz nie widzimy ich na scenie. Czemu? Taka pani Kurtz-Wodosławska, która mogłaby być chlubą każdej opery wielkomiejskiej, w tym roku nie była nawet na scenie... To też zmuszoną była założyć szkołę śpiewu, swoją drogą pierwszorzędną, a jedna z jej uczenic panna Franciszka Billokówna otrzymała onegdaj najwyższe stypendyum dla kształcenia się w śpiewie, co nietylko o uczenicy ale i o kierowniczce nader chlubnie świadczyć musi. Tak więc nasi kształcą się w śpiewie a nam śpiewają Włosi. Dyrektorem Towarzystwa muzycznego zamianowano także Włocha p. Dianniego, który ani słowa nie zna polskiego, a było do wyboru tylu innych. „Difficile est satyram non scribere...“ więc proszę zrozumieć.

* * *

Natomiast kaptuje teraz do siebie artystów sceny lwowskiej Colosseum, przyrzekając im wyższe gaże i w ten sposób demoralizując ich haniebnie. Bo wystarczy młodemu, zwyczajnie ubogiemu aktorowi przyrzec o kilkanaście guldenów więcej, ażeby go ściągnąć do siebie i oderwać od niepopłatnej może iż mudnej, ale pięknej pracy na scenie...

W ten sposób p. Hermann powoli przerabia artystów na tynglarzy, występujących w towarzystwie tynglówek, akrobatów i dyrektorów teatru pcheł, małp, a nawet — co prawda — niedźwiedzi!...

Kl.

Kącik humorystyczny.

Mniejszy globus.

Mały Lajbuś prosi swego ojca, aby mu kupił globus do nauki geografii. Ojciec po długich naleganiach zdecydował się zaprowadzić Lajbusia do handlu, gdzie sprzedawali globusy.

— Proszę dla mego syna dać, jak to się nazywa Lajbuś?

— Globus — mówi Lajbuś.

— Globus, i co kosztuje?

— Dwa guldeny.

— To za drogo — mówi ojciec.

— Ale to jest z całej kuli ziemskiej — mówi cicho Lajbuś.

— Na co ci cały ziemi — proszy mu dać globus tylko z Galicyi tymczasem.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

14. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Ciąg dalszy.

— Skoro tylko ustalimy się w nowem miejscu pobytu, Wilhelminę zabierzemy do siebie.

— O tak, tak, zabierzemy ją do siebie. Wybaczam ci wszystko, w imię tego co teraz powiedziałeś.

— Wilhelmina uprzyjemni nam życie; bądź pewną, że znajdzie we mnie najlepszego ojca.

— Dziękuję ci Alfonsie, – rzekła Elena z rozrzewnieniem i podała mu rękę.

Wkrótce potem wyszli oboje do miasta do urzędu telegraficznego. Telegraficznie wypowiedziała kapitał, a równocześnie wyprawiła też list, w którym dołączyła pokwitowanie bankowe. Conte Alfonso rzucił okiem na pokwitowanie i wyczytał na niem 250.000 franków. Gdyby Elena mogła była w tej chwili ujrzeć twarz swojego kochanka, byłaby się musiała przerazić, tyle tam było teraz cynicznego łotrowstwa, taka szatańska radość taki tryumf opryszka, pewnego zdobyczy.

XVIII.

Schronisko zbrodniarzy.

Zaledwie Aleksandrowicz wrócił z Genewy, wezwał go prefekt policyi, bo dokonano dość ciekawego odkrycia. Do dyrekcyi policyi zgłosił się jakiś młody człowiek i przyniósł taką samą spinkę, jaką na miejscu zbrodni znaleziono. Opowiedział, że kupił u tandeciarza kawałek chodnika do swego mieszkania i że przy trzepaniu wypadła ta spinka, która była w chodnik tak wtłoczona, że jej przedtem nie spostrzegł. Ponieważ z dzienników wiedział o tem, że taką samą spinkę na miejscu zbrodni znaleziono, więc poczytywał sobie za obowiązek także i tę oddać do dyspozycyi władz sądowych. Skutkiem tego wezwano tandeciarza do policyi. aby dowiedzieć się skąd pochodzi ów chodnik. Tandeciarz zeznał, że kupił hurtem w hotelu Golf wszystkie stare deptaki i zużyte dywany.

Aleksandrowicz ucieszył się tą wiadomością i poprosił zaraz dyrektora policyi, ażeby w hotelu podjęto rewizyę i właściciela aresztowano. Dyrektor opierał się temu.

— Na czem pan właściwie opiera swoje żądanie, mówił dyrektor.

— Ta spinka, w chodniku znaleziona, dowodzi, że zbrodniarz w hotelu Golf przebywał.

— Ale właściciel hotelu mógł wcale niewiedzieć o tem.

— Gdyby nie wiedział, to byłby się inaczej zachował wtedy, gdy tam byłem, dowiadywać się o gości, co po pierwszej w nocy do hotelu przyjechali. W sposób wykrętny i kłamliwy odpowiadał na moje pytanie i dawał zagadkowe znaki portyerowi, sądząc, że ich nie spostrzegam. Zresztą opinia tego hotelu tak ustalona, że go można śmiało nazwać schroniskiem zbrodniarzy. Wszakże w ciągu krótkiego czasu było tam kilkanaście aresztowań.

— Przyznaję panu zupełną słuszność, ale to wszystko nie jest dostateczną podstawą do aresztowania, a nawet do podjęcia rewizyi. Nie możemy nigdy działać gorączkowo, bo najmniejsza nieoględność wyrządza sprawie wielkie szkody i zwykle płoszy tych, których ująć nam potrzeba. Należy zawsze iść na upatrzonego. Proszę pana wziąć pod ścisłą obserwacyę ten hotel i śledzić jego właściciela. Gdy pan znajdzie silniejsze poszlaki, przystąpimy odrazu do dzieła. Ponieważ pana już tam znają, przeto wybierz pan sobie którego z kolegów do pomocy.

* * *

Nazajutrz zgłosił się do Aleksandrowicza jego kolega Alberto Garzoni.

— Masz pan jakie spostrzeżenia? — zapytał Aleksandrowicz.

— Ramello siedział przez cały dzień w swoim pokoju i raz tylko wydalił się do miasta, żeby oddać telegram do Wenecyi.

— Do Wenecyi? — zapytał Aleksandrowicz pospiesznie.

— Czy to takie ważne?

— O i bardzo.

Ponieważ Wilhelmina otrzymała korespondencyę z Wenecyi od matki, przeto telegram wyprawiony do Wenecyi przez właściciela hotelu, wydał się Aleksandrowiczowi podejrzanym. Wszakże Ramello musiał wiedzieć o zbrodniarzach, więc teraz prawdopodobnie z nimi koresponduje. Udał się natychmiast do urzędu telegraficznego i zażądał w imieniu prawa, aby mu pokazano rękopisy wszystkich depesz, do Wenecyi dziś wyprawionych. Było ich dwadzieścia kilka, a między niemi jedna następującej treści: „Adria, poste-restante Wenecya. Obecnie wszystko spokojnie. A. już powrócił. Działaj prędko i ostrożnie. Golf.“

Aleksandrowicz kilka razy ją przeczytał, potem zażądał powierzenia sobie tego rękopisu. Pospieszył z nim natychmiast do dyrektora policyi i wytłomaczył znaczenie telegramu.

— Mamy w tem dowód, że właściciel hotelu Golf jest w porozumieniu z mordercami. Nie ulega wątpliwości, że litera A. oznacza moje nazwisko, i że potrzebne było wiedzieć o tem zbrodniarzom, kiedy z Genewy powrócę.

Po krótkiej naradzie zgodził się dyrektor policyi na podjęcie rewizyi.

* * *

Dwoma powozami udała się komisya do hotelu Golf. Ulice były prawie opustoszałe, bo miało się już ku północy. Tu i ówdzie zabłąkał się jakiś majtek, wychodzący ze szynkowni, albo też nocni goście kawiarniani wracali do domu. W pierwszym powozie jechał Aleksandrowicz z dwoma ajentami, w drugim urzędnik prokuratoryi i dwóch urzędników policyjnych. Gdy się powozy zatrzymały przed hotelem portyer otworzył bramę w przekonaniu że przybyli goście hotelowi. Gdy wysiedli a tuż za nimi i trzej urzędnicy, portyer poznał co się święci, zwrócił się prędko i chciał się gdzieś oddalić, ale Aleksandrowicz zatrzymał go przy sobie.

— Poczekajno przyjacielu, przecież nas tu samych nie zostawisz. Powiedzno, czy moglibyśmy się widzieć z właścicielem hotelu?

— Jakto? teraz o północy? – odpowiedział portyer.

— My byśmy bardzo tego pragnęli.

— Ależ pan Ramello śpi teraz.

— To nic nie szkodzi. Proszę go zbudzić.

— Mnie nie wolno; pan Ramello najsurowiej zakazał.

— Proszę natychmiast mnie zaprowadzić do niego — te rzekłszy pokazał Aleksandrowicz swoją odznakę urzędową.

Portyer skrzywił się niechętnie i poszedł przodem a za nim postępowała komisya. Hotel Golf mieścił się w starym budynku o schodach niewygodnych, krętych. Korytarze były ciasne, pełne zakamarków. Czynił wrażenie raczej więzienia, niż hotelu. Wydrapano się wreszcie na drugie piętro i postępowano długim korytarzem, aż przed niskiemi drzwiami zatrzymał się portyer i zapukał. Gdy przez chwilę drzwi nieotwierano i nikt się nie odzywał, portyer zaczął wołać głośno:

— Panie Ramello! panie Ramello!

Na to odezwał się głos ze schodów, wiodących na trzecie piętro:

— Co tam znowu takiego?

— Panie Ramello, panowie chcą się widzieć z panem — rzekł portyer i pomknął prędko po schodach, na trzecie piętro. Tuż za nim spieszył Aleksandrowicz, Ramello stał na schodach ze świecą w ręce, a skoro tylko dostrzegł Aleksandrowicza, zgasił prędko świecę i rzucił lichtarzem prędko o podłogę.

Takie zachowanie się właściciela hotelu utwierdziło komisyę w przekonaniu, że ma nieczyste sumienie i że pragnie zyskać na czasie, aby coś ukryć przed rewizyą policyjną. Oczywiście zrozumiała komisya, że trzeba działać z pośpiechem, aby celu rewizyi dokonać. Spieszono też za odgłosem kroków uciekającego Ramelli. Gdy dopadli drzwi, za które się schował, usłyszeli trzaskanie zawieranego prędko zamku.

— Proszę otworzyć w imieniu prawa, — zawołał Aleksandrowicz zapukawszy mocno we drzwi. Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż nagle drzwi się otwarły z impetem i wypadł z nich Ramello tak gwałtownie, że jednego z ajentów wywrócił, a drugiego pchnął silnie i popędził cwałem, wyrwawszy Aleksandrowiczowi latarkę, którą rzucił nadół ze schodów. Ciemność ogarnęła wszystkich, mimo to Aleksandrowicz gonił za uciekającym i schwycił go silną dłonią właśnie w chwili, gdy ajenci zdołali pozapalać tatarnie. Ramello niósł jakiś pakiet. Aleksandrowicz z pomocą jednego z ajentów, zdołał mu wydrzeć, lecz w tej chwili Ramello skoczył w bok i zniknął w zakamarkach korytarza. Dwóch ajentów zajęło się rozpatrywaniem wszelkich możliwych skrytek na korytarzu i wreszcie znaleźli małe, prawie niewidzialne drzwiczki. Rozwarto je z pomocą żołnierzy policyjnych. Wiodły one do wąskiego korytarzyka, w którym znajdowały się małe, kręte schody. Temi schodami chciał widocznie Ramello umknąć i rzeczywiście zniknął z oczu ścigających. Rozkazano służbie wskazać mieszkanie zbiegłego właściciela. Było ono szczelnie zamknięte i dopiero przy pomocy sprowadzonego ślusarza, zdołano je otworzyć. Za stępca prokuratora, urzędnicy policyjni i Aleksandrowicz weszli do mieszkania, a dwaj ajenci, wraz z żołnierzami policyjnymi, zaciągnęli straż u wszystkich wejść do hotelu, ażeby Ramella nie wypuścić. Komisya usiadła za stołem w kancelaryi zbiegłego Ramelli. Zaczęto od przeglądania papierów.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Ze Lwowa do Bośni: Pożegnanie na dworcu lwowskim batalionu 80 p. p. odjeżdżającego do Bośni (do artykułu na str. 16)

LUDWIK STASIAK

Ślub córki pana radcy.

Humoreska małomiejska.

Oczywiście, że chłopi zrobili mi to na złość. Barykada przed automobilem była rozmyślnie ustawiona. Od miesiąca maszyna moja konie chłopom płoszy, dziś pomścili się. O! Mój automobil wpadł w ciemności na barykadę z łupek drzewa i kamieni, poszedł w praszczęta, ja rozbiłem sobie głowę...

. . . .

Ledwiem się piechotą dowlókł do miasteczka! Ruch dziwny po ulicach, ludzie zdenerwowani jacyś i ożywieni. Przed dużą kamienicą powozy stoją, powozy przyjeżdżają i odjeżdżają, okna wszystkie oświetlone, tłum ludzi w okna patrzy.

— Co się tu dzieje?

— Pan nie wie?! I pan nie wie?!

— Nie wiem.

— No przecie cały powiat o czem innem nie mówi.

— Cóż takiego?

— W mieście rzecz niesłychana, jak świat światem takiej wspaniałości nie było, kula ziemska się zawali i takiej wspaniałości już nie będzie.

— Cóż się dzieje?! — mówię zaciekawiony, trzymając się za głowę.

— Cała inteligencya w poruszeniu.

— No ale powiedzże mi pan co się dzieje?!

— Pan radca córkę za mąż wydaje.

* * *

Poprawiłem bandaże na mojej głowie i poszedłem bezzwłocznie do doktora. W przedpokoju jakiś mieszczanin, będący jak się zdaje portyerem czy majordomusem doktora...

— Jest pan konsyliarz?

Obywatel spojrzał na mnie, uśmiechnął się poczciwie i zaczął palcem po łysej głowie pukać!

— I pan chcesz, żeby dziś był doktor?

— No, a gdzież się miał podzieć? Miał się do piekła zapaść czy co?

— Przecie pan wiesz, co się u nas dzieje.

— Cóż się dzieje?

— Jako żywo na oczy ludzie nie widzieli, jako żywo na uszy nie słyszeli.

— No ale co?!!

Z radosnem, pełnem tajemniczości, pełnem ważności obliczem mówi mieszczanin:

— Pan radca córkę za mąż wydaje.

— Cóż z tego, u miliona djabłów?!!

— Co z tego? A to dobre! Przecie zrozumiesz pan, że lekarz musi się na wesele porządnie ubrać!

— No, rozumiem.

— Otóż pomyśl sobie pan, że w sklepie Rosenzweiga nie było ani jednej wiotkiej, frakowej koszuli.

Byłem wściekły. Gotowało się we mnie wszysko. Łeb rozbity mię piekł. Chciało mi się śmiać i płakać. Ironia jakaś drwiąca. Mówię:

— No proszę. Czy to do uwierzenia. A więc pan powiada, że u Rosenzweiga nie było ani jednej wiotkiej koszuli? Na cóż wiotkiej?

— E widać, że pan z prowincyi, — rzekł portyer czy majordomus. Trzeba panu wiedzieć, że teraz wyszło z mody, żeby do fraka brać koszulę wykrochmaloną jak deska. Teraz są w modzie koszule wiotkie.

— Bardzo racyonalna moda — rzekłem trzęsąc się ze złości.

— Uznajesz to pan? Otóż pomyśl pan sobie, że Rosenzweig miał koszulę w punkty, podczas, gdy pan doktor chciał koniecznie mieć koszulę w listewki wolne. Pan podzielasz jego gust?

— Naturalnie, że podzielam. Mój panie! Trzeba być idyotą, żeby lubieć koszulę w punkty.

— Pan doktor tedy musiał wyjechać koleją do Krakowa.

— Wyjechał? A więc wyjechał! O losie! Cóż ja pocznę?!! Aha... mam myśl... Pan jesteś pomocnikiem doktora? Zapewne felczerem? Czy pan przypadkiem nie umiesz zaszywać rozbitej czaszki?

— Panu łeb trzasnął?

— Rozbiłem się z automobilem.

— Ha, ja panu nic nie poradzę. Ale wie pan co? Znalazłem sposób. Jeśli pan chce, ja pójdę po rymarza. On raz zeszywał bok krowie, która nadziała się na dyszel...

* * *

Dzwonię do apteki już godzinę. Zbliża się do mnie jakiś obywatel.

— Czego pan chcesz? Aptekę dziś od zmierzchu zamknięto.

— Chcę, aby aptekę otworzono!

— Co? Dziś?! Dziś aptekę otwierać? Pan nie wiesz, co się dzisiaj tu, w aptece dzieje?

— Cóż się w aptece dzieje?

— Rzecz nie słychana! Jako żywo ludzie na oczy nie widzieli.

— Gadaj pan co się dzieje!! — wrzeszczałem z całych sił.

Ciąg dalszy nastąpi

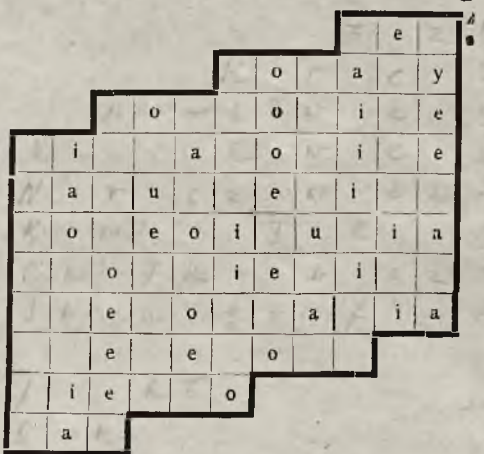
Zagadki do nagrody

Zagadka spółgłoskowa.

Ułożył Jan Rotter.

W miejsca wolne wstawić spółgłoski w ten sposób, by litery czytane w kierunku przekątni A. B. utworzyły nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

B



A

Znaczenie wyrazów (w poziomych rzędach): 1. Państwo w Afryce. 2. Imię męskie. 3. i 4. Miejscowości w Królestwie Polskiem. 5. Nazwisko poety polskiego. 6. Tytnł dramatu Szekspira. 7. Nazwisko hetmana polskiego. 8. Nauka skróconego pisma. 9. i 11. Rzeki w Galicyi. 10. Miejsce dla dusz potępionych.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza redakcya tort migdałowy, z cukierni Piaseckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 15.

Logogryf.

Kaparki, **a**lembi**k**, **r**óżanie**c**, **O**botryc**i**, **l**e**n**, **k**alome**l**, **n**ag**o**, **I**zaa**k**, **a**ndantin**o**, **Z**e**us**, **I**zmai**ł**, **e**skort**a**, **w**ała**ch**, **I**ndygowie**c**, **C**zes**i**, **z**oomagnetyz**m**.

Karol Kniaziewicz, Michał Sokolnicki.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: H. Zielińska Manajów, A. Sadowski Borzęcin, J. Haładej Bielsko, A. Góralski Kotówka, J. Bazylewicz Jaktorów, Z. Kobylański Przemyślany, K. Pożakowski Szczakowa, S. Drzymalski Bóbrka, M. Świtlikowa Rzeszów, M. Opolska Czarny Dunajec, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, M. Arbesbauer Lwów, M. Nowakówna Rabka, B. Ramułtowa Jeżów, F. Niepokój Krosno, H. Kowalski Mogiła, M. Matuszyński Pikułowice, L. Wygrzywalski Kraków, T. Domain Kołomyja, Z. Zieliński Lublin, K. Fuchs Czerem hów, Dr. S. Warmski Turka, H. Karatnicka Kałusz, E. Höhr Warszawa, S. Spunda Skała, M. Rożański Libusza, S. Cieślińska Kraków, J. Badura Rożdzień, J. Osypowicz Stryj, A. Grabowska Barwałd dolny.

Przez losowanie otrzymała nagrodę p. S. Cieślińska.

Od Redakcyi.

P. H. K. w Mogile: O przysyłanie zagadek, logogryfów, szarad i t. p. prosimy. W losowaniu o nagrody biorą udział tylko prenumeratorowie, którzy nadesłali trafne rozwiązania.

P. S. Łomża: Dziękujemy za uznanie. Uwaga słuszna, lecz lepiej byłoby zamiast »z dołu do góry« — »z dołu ku górze«.

P. A. B. Koropuż: Rozwiązanie niedokładne.

P. A. K. Kraków: W korespondencyi, załatwianej z naszymi Czytelnikami, zdarza się nam niekiedy napotykać dowody niewiadomości nie licującej bynajmniej z ich polskiemi nazwiskami. Rzadko jednak mieliśmy sposobność, spotkać się z takiem twierdzeniem, jakie Sz. Pani wyraziła w karcie pocztowej z dnia 20/IV, a mianowicie, że »Marya Stuart« nie jest utworem J. Słowackiego, lecz Schillera«. W tym wypadku niechaj Sz. Pani poinformuje się nawet w pierwszym lepszym leksykonie niemieckim, a dowie się, że dwóch wielkich poetów wzięło za przedmiot swych znakomitych utworów tensam temat.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)